



Pomorski Przegląd Gospodarczy

Ile rynku,
Ile państwa?



Numer 1/2014 (60)

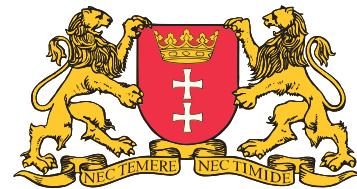
ISSN 1506-6150

www.ppg.ibnogr.pl

Partnerzy i sponsorzy Pomorskiego Przeglądu Gospodarczego:
Samorząd Województwa Pomorskiego, Miasto Gdańsk,
Grupa LOTOS S.A., Grupa ENERGA S.A.,
Nordea Bank Polska S.A.



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



GDAŃSK
miasto wolności



W NUMERZE

ILE RYNKU, ILE PAŃSTWA?

- prof. dr hab. Edmund Wnuk-Lipiński **8** *Polak jak zbuntowany nastolatek*
- dr hab. Leszek Pawłowicz, prof. UG **14** *Państwo nie może chronić hazardzistów*
- prof. Ladislau Dowbor **22** *Porzućmy ideologie*
- prof. Paul H. Dembinski **27** *Globalne korporacje zamiast państw?*
- dr hab. Bogdan Góralczyk, prof. UW **35** *Wolnorynkowe Chiny i etatystyczne Węgry
– zmiana modelu*
- dr Rafał Jarosz **41** *Koniec wolnoamerykanki?*
- Piotr Frączak **48** *A gdzie społeczeństwo?*
- Marcin Skrzypek **53** *Kultura – profity nie tylko rynkowe*
- dr Maciej Tarkowski **58** *Sytuacja gospodarcza województwa
pomorskiego w IV kwartale 2013 roku*

redaktor naczelny

Jan Szomburg Jr.

redaktor prowadzący

Wojciech Woźniak

korekta i dystrybucja

Katarzyna Topka

ilustracje i projekt okładki

Jarosław Bujny

autor portretów

Krzysztof Wieliczko

ISSN 1506-6150

© Copyright by Instytut Badań
nad Gospodarką Rynkową

Wszelkie uwagi i opinie na temat
„**Pomorskiego Przeglądu Gospodarczego**”
prosimy kierować pod adresem:
Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową
ul. Do Studzienki 63, 80-227 Gdańsk
tel.: +48 58 524 49 00
faks: +48 58 524 49 08
e--mail: redakcja@ppg.gda.pl
<http://www.ppg.gda.pl>

„PPG” ukazuje się dzięki pomocy:
Samorządu Województwa Pomorskiego,
Miasta Gdańsk,
Grupy LOTOS S.A.,
Grupy ENERGA S.A.,
Nordea Banku Polska S.A.

Redakcja zastrzega sobie prawo opracowywania,
dokonywania skrótów oraz nadawania tytułów
i śródtytułów nadesłanym tekstom.

Opinie zawarte w prezentowanych artykułach nie zawsze
odzwierciedlają stanowisko IBnGR.



Jan Szomburg Jr.

wiceprezes Zarządu
Instytutu Badań
nad Gospodarką Rynkową,
redaktor naczelny
Pomorskiego Przeglądu
Gospodarczego



Wojciech Woźniak

redaktor prowadzący
Pomorskiego Przeglądu
Gospodarczego

OD REDAKCJI

I le rynku, ile państwa? – nie ustają dyskusje na temat tego, jak urządzić pokryzysowy świat. W powszechnym mniemaniu dominuje poczucie, że wcześniej obowiązujący ład zawiódł. W opinii jednych nie sprawdziła się neoliberalna koncepcja rynkowej swobody, inni zaś twierdzą, że to nadmierne lub nie-mądre regulacje były praprzyczyną kłopotów.

Bez względu na to, któremu stanowisku bliżej jest do prawdy – nie może dziwić społeczne rozgorczenie i chęć zmiany poprzedniego porządku, którego koszty upadku – w dodatku – spadły na barki podatników. Jakiego pokryzysowego

świata byśmy zatem chcieli? Silniejszego interwencjonizmu i wzięcia przez państwo większej odpowiedzialności za funkcjonowanie całego systemu? A może wręcz przeciwnie – większej swobody, wolności w podejmowaniu decyzji (i ponoszenia płynących z nich konsekwencji), licząc na to, że rynek zapewni nam wszystko, czego potrzebujemy w sposób najbardziej efektywny?

Z punktu widzenia „naprawiania” świata są to problemy niezwykle ważne. Ale odpowiedź na pytanie o to, czym kierować się przy konstrukcji nowej społeczno-gospodarczej „układanki” wydaje się być dużo prostsza. Ludzie chcą po prostu, by żyło im się lepiej. Oczekują jak najłatwiejszego dostępu do usług i dóbr, o możliwie jak najwyższej jakości. To, kto będzie je gwarantował – rynek czy państwo – jest rzeczą wtórną i zależy od ideologii, światopoglądu oraz, co najważniejsze, historycznych i mentalno-kulturowych predyspozycji.

Są wszak społeczeństwa, których życie w znacznej mierze organizowane jest przez struktury państwowe. Cieszą się one wysokim standardem egzystencji, nawet mimo pewnego ograniczenia jednostkowych swobód na rzecz większego wspólnotowego egalitaryzmu (Szwecja jest tu „książkowym” przykładem). Jakość życia mieszkańców może być

jednak imponująca także w krajach, w których rolę systemowego koordynatora odgrywa „niewidzialna ręka rynku”, a mieszkańców cechuje duże przywiązanie do indywidualnej wolności – tu punktem odniesienia są Stany Zjednoczone. Istnieje oczywiście szereg modeli pośrednich i hybrydowych (choćby Singapur czy Chiny), które umożliwiają solidny społeczno-gospodarczy rozwój. Nie ma więc jednej recepty na sukces.

Polacy, naród lubujący wolność, z jednej strony są predystynowani do działania w warunkach rynkowych – ostatnie 25 lat zdaje się potwierdzać tę tezę. Z drugiej zaś, nie godzimy się na nadmierne społeczne nierówności i wymagamy od państwa znacznej aktywności w tej sferze. Myśląc o najlepszej dla nas drodze rozwoju, nie powinniśmy zatem popadać w skrajności (co często zdaje się być motywem przewodnim wielu polskich dyskusji). Lepszym rozwiązaniem jest próba zrozumienia samych siebie i doboru takiego „miksu” mechanizmów rynkowych i państwowych regulacji, który najlepiej będzie pasował do naszej mentalności, a dodatkowo weźmie pod uwagę szerszy (europejski i globalny) kontekst polityczno-gospodarczy. To natomiast pozwoli nam odblokować szerokie potencjały – i zamiast „hamulcowym” otaczający nas ład stanie się dla nas „motorem rozwoju”.

Ile rynku, ile państwa?



prof. dr hab.
Edmund Wnuk-Lipiński
rektor honorowy
Collegium Civitas

Polak jak zbuntowany nastolatek

Rynek i państwo – ich relacje, zasięg i jakość działania w dużym stopniu zależą od uwarunkowań kulturowych i społecznych. Po 1989 r. Polska zaczęła budować zupełnie nowy ład. Mimo trudności, udało nam się szybko zorganizować demokrację i gospodarkę rynkową. Jednak nasze historyczne deficyty wciąż nie pozwalają nam zrobić kolejnego kroku. Brak zaufania negatywnie przekłada się na jakość relacji państwo-społeczeństwo oraz na konkurencyjność gospodarki. Wciąż nie potrafimy docenić tego, co wspólne i publiczne – ze stratą dla indywidualnego i zbiorowego rozwoju. Od państwa oczekujemy, nieco schizofrenicznie, kompleksowej opieki a jednocześnie zabraniaamy mu wtrącania się w nasze życie. W pokonywaniu tych barier nie pomagają goniące za sensacją media i dostosowująca się do ich przekazu klasa polityczna – kreowana przez nich zakrzywiona rzeczywistość zaostrza społeczne antagonizmy.

8



dr hab. Leszek Pawłowicz,
prof. UG
wiceprezes Zarządu Instytutu
Badań nad Gospodarką Rynkową

Państwo nie może chronić hazardzistów

Chciwość jest dobra. Przedsiębiorczość jest sposobem na pomnażanie bogactwa i rozwój gospodarczy. Nie powinniśmy złościć się na rosnące dochody biznesmenów, drżąc o społeczną spójność i sprawiedliwość – zapewnieniem tychże powinno zajmować się państwo. Jednak chęć zysku musi być bezwzględnie równoważona przez ryzyko – gram „ostro”, muszę się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Jeśli wyeliminujemy ten czynnik z rynkowych mechanizmów, doprowadzamy do patologii systemu i w efekcie potężnych kryzysów. Paradoksalnie, ryzyko wypada z tej układanki za sprawą działania... państw, które, za pieniądze podatników, fundują „gospodarczym hazardzistom” miękkie lądowanie.

14



prof. Ladislau Dowbor
Pontifícia Universidade Católica
de São Paulo

Porzućmy ideologie

Ideologie są, szczególnie w tak dynamicznie zmieniającym się świecie, rzeczą bardzo praktyczną. Dają nam poczucie bezpieczeństwa – „wiemy”, co jest dobre, a co złe. Normują one naszą świadomość w kontekście relacji pomiędzy państwem, rynkiem i społeczeństwem. A jak „idzie” im z regulowaniem rzeczywistości? Dużo gorzej. Uproszczenia, jakimi się posługują, prowadzą do bałaganu i katastrofalnych konsekwencji. W ostatnich dekadach triumfy święcił neoliberalizm – gloryfikujący wolny rynek, dążący do maksymalnego ograniczenia interwencjonizmu państwowego i usprawiedliwiający istnienie dużych społecznych nierówności. Czy receptą na skutki ostatniego kryzysu, u którego źródeł leżała właśnie ta ideologia, jest kolejny, nowy dogmat?

22



prof. Paul H. Dembinski
współtwórca i dyrektor
Obserwatorium Finansowego
w Genewie

Globalne korporacje zamiast państw?

Korporacje rządzą światem. Moc, zasięg i skutki ich oddziaływania już dawno wykroczyły poza ramy tradycyjnej definicji działalności przedsiębiorstwa. Dzięki globalizacji urosły one wręcz niebotycznie, podczas gdy państwa wciąż działają głównie na szczeblu narodowym. Wielkie firmy biorą dziś udział w stanowieniu prawa, tworzeniu norm i budowie społeczeństw. Wszystko to dzieje się jednak w sposób nieformalny, nietransparentny i fragmentaryczny, co może i korzystnie wpływa na sytuację tych podmiotów, ale nie rozwiązuje globalnych problemów. Czy wyjściem jest wzięcie na siebie przez korporacje większej odpowiedzialności za losy świata?

27



dr hab. Bogdan Góralczyk,
prof. UW
Centrum Europejskie
Uniwersytetu Warszawskiego

Wolnorynkowe Chiny i etatystyczne Węgry – zmiana modelu

Chiny i Węgry – dwa, znacząco różniące się między sobą państwa, łączący jeden, istotny fakt. Oba kraje redefiniują swój model rozwojowy. Chiny, po trzech dekadach wzrostu spod znaku socjalistyczno-kapitalistycznej hybrydy, sięgają po rozwiązania jeszcze bardziej rynkowe, ale zarazem zrównoważone, sprzyjające środowisku i budowaniu postaw obywatelskich. Węgry zaś idą w zupełnie innym kierunku, nadając państwu dominującą rolę w koordynowaniu życia społeczno-gospodarczego. O ile ruch Pekinu można uznać za pragmatyczne dostosowanie się do nowych globalnych warunków, o tyle zmiana kursu w Budapeszcie wydaje się być prowadzącą na manowce etatystyczną ortodoksją.

35



dr Rafał Jarosz
Pierwszy Sekretarz Wydziału
Ekonomicznego Ambasady
Rzeczypospolitej Polskiej
w Waszyngtonie

Koniec wolnoamerykanki?

Amerykański ład społeczno-gospodarczy tradycyjnie cechował się prymatem rynku i ograniczoną do minimum rolą państwa. Jednakże zmiany ekonomiczne, demograficzne, społeczne i środowiskowe w USA tworzą klimat sprzyjający ewolucji tego paradygmatu. Gdy jedna połowa społeczeństwa traci grunt pod nogami, a druga dynamicznie się rozwija, potęga gospodarcza kraju może być poważnie zagrożona. Stany Zjednoczone stoją przed historycznym dylematem: czy pozostawić – jak dotąd – wszystko wolnemu rynkowi, nie dążąc do zmniejszania różnic społecznych? A może podjąć próbę uregulowania redystrybucji bogactwa tak, by lepiej zabezpieczała ona dobrostan mniej zamożnej części społeczeństwa?

41



Piotr Frączak
prezes Ogólnopolskiej Federacji
Organizacji Pozarządowych

A gdzie społeczeństwo?

Debata na temat opcji rozwojowych często przypomina przesuwanie suwaka pomiędzy wolnym rynkiem a interwencjonizmem państwowym. Braki wynikające z niedoskonałości rynku próbuje się niwelować administracyjnymi nakazami, a wady administracyjnego zarządzania – większym urynkowieniem. Są jednak obszary – aspiracje i potrzeby różnych grup społecznych – w których obie te siły zawodzą. Tam, gdzie nie działa ani rynek, ani państwo kontrolę musi przejąć samoorganizujące się społeczeństwo.

48



Marcin Skrzypek
 animator kultury,
 Ośrodek „Brama Grodzka –
 Teatr NN” z Lublina

Kultura – profity nie tylko rynkowe

Kultura, jak większość obszarów naszej egzystencji, poddaje się w pewnym stopniu wpływowi logiki rynkowej. Ma ona swoje specyficzne produkty, producentów, klientów i inwestorów. Podobnie jak przedsiębiorczość napędzana jest chęcią zaspokajania ludzkich potrzeb, rozwoju i szukaniem nowatorskich rozwiązań. Jednakże w wielu swoich wymiarach zdecydowanie wykracza poza proste reguły ekonomiczne. Dotyka sfery wartości, stymuluje kreatywność, uczy otwartości. Dlatego niektóre jej obszary wymagają pomocy państwa i włączenia się społeczeństwa. Niestety, forma zaangażowania sfery publicznej w kulturę wciąż pozostawia wiele do życzenia...

53

POLAK JAK ZBUNTOWANY NASTOLATEK

Rozmowę prowadzi Leszek Szmidtke – dziennikarz „Pomorskiego Przeglądu Gospodarczego” i Radia Gdańsk.



prof. dr hab.
Edmund Wnuk-
-Lipiński

*rektor honorowy
Collegium Civitas*

Leszek Szmidtke: Liczne badania społeczne informują o wysokim poziomie zadowolenia Polaków z życia prywatnego. Równocześnie wykazują one niezadowolenie z funkcjonowania państwa i stanu społeczeństwa. Jak tłumaczyć taką sprzeczność?

Edmund Wnuk-Lipiński: O swoim życiu każdy z nas dowiaduje się z własnych obserwacji. Nie ma żadnych pośredników w tym przekazie. Natomiast informacje o stanie państwa czerpiemy z mediów. To nie jest wyłącznie polska cecha, gdyż na całym świecie powszechna jest zasada *good news is bad news*. Media koncentrują się głównie na tym, co nietypowe, a nie na rzeczach powszednich. Dlatego obraz państwa czy społeczeństwa w środkach przekazu masowego jest, jak mawiają socjologowie, wizerunkiem odbitym przez krzywe zwierciadło. Doskonałym przykładem było zawirowanie, towarzyszące objęciu funkcji wicepremiera przez Elżbietę Bieńkowską. Na kilka tysięcy pociągów kursujących w Polsce pierwszego dnia poważnego ataku zimy pojawiły się problemy z kursami

O swoim życiu każdy z nas dowiadyuje się z własnych obserwacji. Nie ma żadnych pośredników w przekazie. Natomiast o stanie państwa dowiadujemy się z mediów, koncentrujących się na tym, co nietypowe. W konsekwencji obraz fragmentu rzeczywistości traktuje się jako całość.

tylko dwóch. Jednak to głos wściekłych pasażerów zdominował informacje i publicystykę. Ten obraz jest klasycznym błędem, zwanym *pars pro toto* – obraz fragmentu rzeczywistości traktuje się jako całość. Niestety, złe wiadomości zawsze cieszą się większym zainteresowaniem i jest to cecha wszystkich wolnych mediów na świecie.

Może za szybko przyzwyczajamy się do dobrego i traktujemy to jako coś oczywistego?

Na przełomie lat 2007/2008 przeprowadziliśmy ogólnopolskie pogłębione badania postaw obywatelskich. Wyszło z nich, że dla Polaków nieważna jest wolność wypowiedzi, zgromadzeń i stowarzyszania się, czyli wszystko to, co składa się na nasz ład demokratyczny. Ważne było za to bezpieczeństwo socjalne. Kiedy przyjrzeć się temu bliżej okazuje się, że wartości demokratyczne są dla nas nieważne zwyczajnie dlatego, że są realizowane i na co dzień ich nie dostrzegamy. Traktujemy je jako dane raz na zawsze, więc przestają być dla nas ważne. Stałyby się ponownie bardzo istotne, gdyby zaczęło ich brakować w życiu publicznym.

A czym jest dla nas państwo?

W oczach Polaków państwo jest wartością, ale w rozumieniu romantycznym. Jednoczymy się w chwilach zagrożenia i jesteśmy też wtedy gotowi

do poświęceń. Natomiast kiedy nie ma żadnych niebezpieczeństw i funkcjonujemy w demokratycznej codzienności – zaczynają dominować postawy roszczeniowe. Państwo ma bezwarunkowo pomagać niezależnie od tego, czy ktoś sobie nie radzi nie z własnej winy, czy też sam doprowadził się do trudnego położenia. Ta pomoc ma polegać na daniu ryby, a nie wędki. Państwo w oczach Polaków, jak generalnie Europejczyków, jest odpowiedzialne za to, by nie dopuszczać do powstania zbyt dużych społecznych nierówności. Tyle tylko, że my jednocześnie chcemy, by państwo w ogóle nie wtrącało się w nasze życie. Trochę jak nastolatek, który z jednej strony wymaga od rodziców tego, by zapewnili mu dobrobyt, a jednocześnie buntuje się przeciwko jakiegokolwiek ich ingerencji w jego prywatność.

Czy nasza przeszłość, a szczególnie ostatnie dwa wieki, miały wpływ na takie postawy?

Bez wątpienia historia wpływa na dzisiejsze społeczeństwo. Dlatego w naszych kodach kulturowych raczej nie występuje potępienie oszustw podatkowych, jazdy na gapę czy nawet ściągania w szkole. Czyli tego wszystkiego, co powoduje, że jeden żyje kosztem drugiego. Dominuje inna postawa. Skoro państwo chce nas złupić, to my się nie damy i coś ukryjemy, zakombinujemy, czegoś nie zapłacimy. Rzesze młodych emerytów pracujących na czarno są dobrą ilustracją tych postaw. Nie

Zachowujemy się trochę jak zbuntowani nastolatki. Z jednej strony chcemy, by państwo zapewniło nam dobrobyt, a jednocześnie buntujemy się przeciwko jakiegokolwiek jego ingerencji w nasze życie prywatne.

widzimy, że okradamy samych siebie. To są nasze pieniądze, bo rząd nie ma własnych.

Czy w ostatnim ćwierćwieczu zauważył Pan zmiany mogące świadczyć o pozbywaniu się negatywnego bagażu przeszłości?

Widać bardzo wyraźnie zmiany zachodzące na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze następuje wymiana pokoleniowa – rośnie udział ludzi nie pamiętających czasów PRL-u. Codzienność gospodarki niedoborów znają z filmów Barei, a nie z własnych doświadczeń. Dzisiejsza sytuacja jest dla nich jedyną rzeczywistością, jaką znają. Natomiast drugą sferą jest rewolucja edukacyjna. Poziom skolaryzacji po 1989 r. wzrósł kolosalnie! Nawet, jeżeli jest to wykształcenie nie najwyższej jakości, co jest dość powszechne szczególnie w przypadku niektórych uczelni wyższych, to w porównaniu do jego braku możemy mówić o przepaści! Osoby wykształcone znacznie częściej rozumieją, że państwo ma tyle pieniędzy, ile mu damy.

Uważam też, trochę wbrew obiegowej opinii, że minione ćwierćwiecze jest okresem, jakiego w ciągu ostatnich wieków naszej historii nie było. Odbudowujemy naszą państwowość i gospodarkę w błyskawicznym tempie. Jeżeli popatrzymy na punkt startu i dzisiejszą sytuację, to widzimy, że te dwa punkty obserwacyjne dzielą lata świetlne! Oczywiście, do zrobienia jest jeszcze bardzo dużo, ale jestem zbudowany skutecznością naszych rodaków. Patrząc na wydarzenia na Ukrainie, która przeszła tzw. „przedwczesną konsolidację” i nie dokończyła politycznej i gospodarczej transformacji, mogę stwierdzić, że my w tym procesie budowania państwowości, gospodarki rynkowej i społeczeństwa obywatelskiego poszliśmy znacznie dalej. Dzisiaj chroni to nas przed sytuacją podobnej do tej, z jaką mamy do czynienia u naszych wschodnich sąsiadów.

Czy to, że jako państwo jesteśmy członkiem Unii Europejskiej, bardzo dużo naszych firm ma kontakt z kontrahentami z całego świata, zaś wielu Polaków

wyjeżdża za granicę do pracy czy po naukę – jest czynnikiem niejako wymuszającym naszą szybszą ewolucję społeczną? A może jesteśmy na te bodźce odporni?

Zakotwiczenie w strukturach Zachodu – zarówno w Unii Europejskiej, jak i w NATO – sprawia, że po raz pierwszy nie jesteśmy osamotnieni. Mamy też pozytywne punkty odniesienia do oceny własnej sytuacji. Z tego wynika nasza zwiększona motywacja do jej poprawy i ulepszania. I jest to czynnik bardzo korzystny – chcemy dorównać innym, którzy mieli więcej czasu i bardziej sprzyjające warunki do tego, aby swoją pozycję osiągnąć. My musimy to nadganiać, ale robimy to bardzo sprawnie. Tych dwudziestu pięciu lat nie zmarnowaliśmy.

Czyli więcej zawdzięczamy czynnikom zewnętrznym, niż nam samym?

Nie, nie do końca. Proszę spojrzeć na niedawną jeszcze Ukrainę albo na bardziej dramatyczną sytuację na Białorusi. Tam nie ma (lub nie było) czynników wewnętrznych, które pozwoliłyby na to, aby kraje te stały się państwami demokratycznymi z kwitnącą gospodarką rynkową. Oddolna energia jest niezwykle ważna – bez niej wysiłki świata zewnętrznego na niewiele się zdadzą. Natomiast jeśli ona występuje, to zewnętrzna pomoc (np. w formie funduszy europejskich) znacznie przyspiesza ten proces.

Spoglądając w przeszłość widać, że w społeczeństwach krajów tzw. Starej Unii, a także w USA kapitalizm miał też postać duchową, był oparty na wartościach, które nie znalazły miejsca w naszym pojmowaniu świata.

Polacy w latach przełomu znaleźli się w trudnym położeniu, bo trzeba było budować kapitalizm bez kapitalistów i demokrację bez obywateli. W rozwiniętych krajach tego typu transformacje poprzedzone są długotrwałą kampanią edukacyjną. Kiedy poziom znajomości zmian jest już wystarczający, wprowadzone zostają nowe przepisy. Zmiana zasad

*Polacy w latach przełomu
znaleźli się w trudnym
położeniu, bo trzeba było
budować kapitalizm bez
kapitalistów i demokrację bez
obywateli.*

w 1989 roku była rewolucyjna. Nie było czasu na przygotowania. Co więcej, nie mieliśmy nawet pomysłów na oswajanie się z nowym łaodem społecznym. A jeżeli takowe się pojawiały, to ówczesna klasa polityczna odrzucała je, jako próbę politycznej indoktrynacji. Tymczasem w edukacji obywatelskiej nie uczy się konkretnej opcji politycznej, lecz bycia obywatelem i umiejętności wyboru opcji.

Czy kapitalizm w polskiej interpretacji nie pogłębił istniejącej przed 1989 rokiem atomizacji społeczeństwa? Czy amerykański sen w polskim wydaniu nie stał się zaprzeczeniem fundamentalnych zasad tego systemu?

Trudno mówić o „amerykańskim śnie” w polskim wydaniu, gdyż między tymi narodami są zbyt duże różnice. Za Oceanem nawet osoba, której się nie widzie, zachowuje się jak człowiek sukcesu. W Polsce ludzie, którym się powodzi, raczej głęboko się z tym kryją, żeby nie stać się obiektem zawistnego egalitaryzmu. Takie przykłady próbuje się zdyskredytować i najczęściej robią to ci, którym wiedzie się gorzej. W ten sposób tłumaczą swoją niechęć do naprawiania samych siebie: „przecież on pracuje krócej niż ja i skoro się dorobił to musi być jakieś szalbierstwo!”. Nie bierze się pod uwagę, że sam fakt pracowania to nie wszystko i że są jeszcze inne czynniki. Praca musi mieć np. sens.

Polski indywidualizm mniej przypomina amerykański, a bardziej ten pochodzący z południa Włoch, który można nazwać „amoralnym familizmem”. Dbam o interesy moje i moich najbliższych nawet, jeżeli są one sprzeczne z zasadami etycznymi,

społecznymi i jestem przekonany, że nie robię nic złego, gdyż wszyscy tak się zachowują. A skoro wszyscy kradną, to nie mogę być uczciwy, bo przegram, więc czuję się rozgrzeszony. Uczciwość to, kolokwialnie mówiąc, „frajerstwo”. Takie zachowania nie tylko nie budują zdrowej gospodarki rynkowej, ale są też niezwykle toksyczne społecznie.

Jest jeszcze jedno zjawisko, wynikające z katastrofalnie niskiego poziomu zaufania społecznego, czyli „jazda na gapę”. Nie chodzi o wykroczenie komunikacyjne, ale o korzystanie z pracy innych, przechwytywanie korzyści płynących z inwestowania innych ludzi. *Free rider problem* również jest społecznie bardzo toksyczny. Nie motywuje ludzi do wspólnotowych działań.

A więc wspólne to znaczy niczyje?

Teoria gier mówi o tzw. paradoksie pastwiska. Jeżeli dana jednostka z indywidualnej perspektywy postępuje racjonalnie, ale w swoim działaniu nie ogląda się na konsekwencje dla otoczenia, to w tym przypadku nie możemy mówić, że suma tych indywidualnych racjonalności tworzy pewną „makroracjonalność”. Podobnie jak zbiór jednostek nie tworzy społeczeństwa.

*Dobro wspólne jest dla nas
czymś niezrozumiałym.
Z własnej perspektywy
działamy racjonalnie,
ale nie oglądamy się
na konsekwencje dla
otoczenia. Nasz brak
„zbiorowej optyki” prowadzi
nie tylko do zniszczenia
tego, co wspólne, ale
i do indywidualnej porażki.*

Co więcej, takie „mikroracjonalności” mogą być katastrofalne dla tego, co nazywamy dobrem wspólnym. Jest ono dla nas czymś niezrozumiałym, ulotnym – w przeciwieństwie do tego, co prywatne, a więc bliskie i namacalne. W warunkach braku zaufania nigdy nie wiemy, czy nie będziemy oszukani przy korzystaniu z tego, co publiczne. Ja będę wypasał na pastwisku jedną krowę, a mój sąsiad trzy. Troszcząc się tylko o interes prywatny, wprowadzamy na ograniczony obszar pastwiska kolejną krowę (robi tak każdy, bo nie chce być „frajderem”) i trwa to tak długo, aż na pastwisku znajduje się tyle krów, że trawa się kończy i zwierzęta zaczynają zdychać. Tak więc nasz brak „zbiorowej optyki” prowadzi nie tylko do zniszczenia dobra wspólnego, ale i do indywidualnej porażki.

Jak mamy ufać Niemcom, Czechom czy Litwom i tworzyć europejską wspólnotę, skoro nie darzymy zaufaniem naszych rodaków?

Paradoksalnie bardziej ufamy Komisji Europejskiej i cudzoziemcom niż własnemu rządowi i rodakom. Wydaje mi się, że ta wiara w Brukselę wynika z braku sporów politycznych, które są codziennością krajowej sceny. Brak zaufania jest dla nas bardzo kosztowny. Obraca się on też przeciwko politykom siejącym jego ziarna.

Czy brak społecznego zaufania będzie „szklanym sufitem”, który zatrzyma w pewnym momencie nasz dalszy rozwój?

Jeżeli nie zrobimy czegoś w kwestii zaufania społecznego, jeżeli nie będziemy potrafili się z tego stanu wydobyć, to nawet notując wzrost gospodarczy, będziemy „jechać na zaciągniętym hamulcu”. Brak zaufania sprawia, że wszystkie transakcje postrzegamy przez pryzmat dużego ryzyka. To z kolei

oznacza, że musimy je podwójnie lub potrójnie ubezpieczać. A to przecież zwiększa koszty i obniża naszą konkurencyjność.

Deficyt zaufania to też strach. Strach to brak skłonności do ryzyka, a to z kolei jest solą innowacyjnej gospodarki...

Rzeczywiście, tak jest. Jeżeli poziom zaufania jest niski, to cena niepowodzenia w sytuacji ryzykownej jest znacznie wyższa. Nie ma się za sobą właśnie tego społecznego wsparcia – „nie udało się nam, ale będziemy próbowali jeszcze raz”. W USA przedsiębiorca bankrutuje w ciągu swojej kariery średnio trzy czy cztery razy, ale w końcu wychodzi na swoje i odnosi sukces. U nas bankructwo jest

już czymś, co potwornie zniechęca dlatego, że nie ma wsparcia szerszej społeczności – jeżeli mu się nie udało, to państwo powinno mu pomóc. To słabo motywuje i rodzi poczucie nieudacznictwa. Amerykanin liczy nie na państwo, lecz na siebie i swój spo-

łeczny kapitał, który daje mu „pozytywnego kopa”. Dlatego próbuje kolejny raz.

Widzimy też pewną opresyjność w zachowaniu państwa wobec obywateli. Czy styl działania np. urzędów skarbowych również jest przejawem braku zaufania?

Instytucje państwa nie ufają obywatelom, a obywatele nie ufają tym organom. Przykład: gdyby zaufanie społeczne było wyższe, to urzędnikom wystarczyłyby oświadczenia woli obywatela czy podatnika. Byłoby to równie ważne, jak poświadczenie stanu faktycznego poprzez rozmaite dokumenty urzędowe. A teraz trzeba udowadniać, że nie jest się wielbłądem. Gdyby te interakcje

Instytucje państwa nie ufają obywatelom, a obywatele nie ufają tym organom. Gdyby zaufanie społeczne było wyższe, to urzędnikom wystarczyłyby oświadczenia woli obywatela. Dziś musi on udowadniać, że nie jest wielbłądem.

były wzmacniane wzajemnym zaufaniem, weryfikacja przebiegałaby bardzo szybko. Wystarczy, że ten, którego obdarzyliśmy zaufaniem, raz nas zawiodł i wycofujemy zaufanie. Jeżeli natomiast podchodzimy do siebie bez tego ważnego czynnika, to choćby druga strona była aniołem zakładamy, że przecież oszustwo to tylko kwestia okazji, prawda? To sytuacja podobna do tej z zawieraniem wielokrotnie ubezpieczonych transakcji – rosną nasze koszty, a zaufanie nie.

Jak zatem budować społeczne zaufanie i chęć współpracy?

Bardzo istotna jest szkoła czy szerzej – system edukacyjny. Ważny jest również dom rodzinny i atmosfera, jaka w nim panuje – czy zewnętrzny świat traktuje się jako szansę i środowisko rozwoju, czy też jako zagrożenie, z którym trzeba walczyć.

Jednak olbrzymi wpływ ma też klasa polityczna. Pod względem poziomu zaufania społecznego jest ona bardzo wzorcotwórcza. Kiedy przeważa w niej konflikt – szczególnie ten emocjonalny, kiedy adwersarzom odmawia się podstawowych cech obywatelskich, rudymenarnych wartości, traktuje jako wroga, to zwolennicy polityków i ugrupowań traktują siebie nawzajem również jako wrogów.

Myszę, że można byłoby odbudować zaufanie, jeżeli najsilniej wzorcotwórcze grupy, czyli klasa polityczna i duchowni (a jest to w naszym społeczeństwie ważna grupa odniesienia), zmienili sposób mobilizacji poparcia dla siebie. Jeżeli politycy tworzyliby pozytywne programy, a nie pokazywali, że wszyscy konkurenci są osobami niezasługującymi na zaufanie, to społeczeństwo nie byłoby tak przesiąknięte tymi „negatywnymi wibracjami”.

O ROZMÓWCY:

Prof. dr hab. Edmund Wnuk-Lipiński jest socjologiem i autorem wielu prac z dziedziny socjologii polityki. Był założycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Studiów Politycznych PAN oraz rektorem Collegium Civitas. Był także uczestnikiem rozmów Okrągłego Stołu i doradcą Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Obecnie jest przewodniczącym Rady Naukowej ISP PAN i kierownikiem Katedry Socjologii w Collegium Civitas. Ostatnio wydane książki: „Świat międzypoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe” oraz „Socjologia życia publicznego”.



*dr hab. Leszek
Pawłowicz, prof. UG*

*wiceprezes Zarządu
Instytutu Badań
nad Gospodarką Rynkową*

PAŃSTWO NIE MOŻE CHRONIĆ HAZARDZISTÓW

Rozmowę prowadzi Marcin Nowicki, dyrektor Obszaru Badań Regionalnych i Europejskich IBnGR.

Marcin Nowicki: Czy w świecie finansów widać wyłanianie się nowego, pokryzysowego ładu?

Leszek Pawłowicz: To, co dzieje się od ponad roku w Unii Europejskiej stanowi próbę stworzenia takiego ładu. Europa doszła do wniosku, że droga do wyjścia z kryzysu, który spowodował spadek zaufania na rynkach finansowych, prowadzi przez dalszą i głębszą integrację polityczną oraz uratowanie strefy euro. Szczególnie ten drugi czynnik był dla Wspólnoty istotnym bodźcem do podjęcia działań. W efekcie głównym narzędziem „nowego ładu” jest, jak dotychczas, tak zwana unia bankowa.

Głównym motywatorem dalszej politycznej integracji UE jest obawa przed rozpadem strefy euro, podobnie jak strach przed trzecią wojną światową pchnął stary kontynent w kierunku unii gospodarczej.

Wspólna waluta jest więc pretekstem do podjęcia dalszej integracji politycznej na Starym Kontynencie?

Nie jest to pretekst, lecz głębokie przekonanie wielu polityków, że to najwłaściwsza droga. Tak jak trwoga przed wybuchem trzeciej wojny światowej była początkiem integracji gospodarczej Europy, tak strach przed upadkiem europejskiej waluty jest motywatorem do dalszej konsolidacji politycznej. Nasuwa się oczywiście pytanie, czy w dzisiejszych czasach jest to na tyle emocjonująca idea, co obawa przed globalnym konfliktem. Czy zdoła ona np. porwać młodzież, która chciałaby się utożsamiać z europejską wspólnotą walutową i drżeć o jej dezintegrację? Według mnie nie, ale być może się mylę. Zatem oprócz strachu potrzebujemy też innej, bardziej pozytywnej motywacji.

Ale czy działanie UE nie jest leczeniem objawów choroby, nie zaś jej przyczyn?

Likwidacja symptomów, na przykład temperatury, nie oznacza, że wyleczyliśmy gripę. Wydaje się, że UE stara się dotrzeć do przyczyn „infekcji”. W powszechnym przekonaniu jednym z najważniejszych źródeł globalnego kryzysu była tzw. pokusa nadużycia (ang. *moral hazard*). Mówiąc najkrócej, taki bodziec występuje w sytuacji, w której jedna strona podejmuje decyzje i zbiera związane z nią profity, ale ryzyko i koszty tych działań, w razie niepowodzenia, spadają na kogo innego. W przypadku ostatniego załamania w świecie finansów – na podatników i klientów.

Jesteśmy zbyt wielcy, by upaść. Zawsze nas ktoś uratuje...

Tak, to jeden z najjaskrawszych przykładów. Rozwiązanie tej sytuacji wydaje się proste. Skoro jakaś instytucja jest *too big to fail*, to należy ją podzielić, jak swego czasu zrobiono np. z Microsoftem, który osiągnął status monopolisty w branży IT. Takich bankowych molochów jest w tej chwili kilkanaście. Brakuje jednak politycznej siły na to, by dokonać takiego ruchu. Banki te – mimo że znalazły się na krawędzi bankructwa – są zbyt duże, by lokalne rządy mogły w znaczący sposób na nie wpływać. Demokracja jest narodowa, a banki są globalne.

Oczywiście, Stany Zjednoczone są przykładem silnego państwa, które jeszcze – choć prawdopodobnie już nie za długo – jest w stanie przeciwstawić się potędze amerykańskiej finansjery. Bardziej zróżnicowana Unia Europejska takiej politycznej mocy nie ma, choć pojawiają się propozycje mechanizmów, jak choćby *resolution fund*, które miałyby zapobiegać sytuacjom niekontrolowanego upadania banków i przeprowadzania bardzo kosztownych akcji ratunkowych.

A czy nie ma ryzyka, że w obawie przed zacieśnieniem regulacji banki uciekną na inne rynki?

Takiego ryzyka nie ma, jeśli te regulacje są dobre i rozsądne. Niestety, póki co ich główną cechą jest horrendalne rozbudowanie i skomplikowanie. Sektor finansowy, szczególnie bankowy, przestaje myśleć w kategoriach biznesowych, a swoją uwagę przekierowuje na to, jak wywiązać się z kolejnych regulacji.

Demokracja jest narodowa, a banki są globalne. Niedługo prawdopodobnie nie będzie na świecie siły politycznej, mogącej z powodzeniem przeciwstawić się potędze światowej finansjery.

W UE co roku wchodzi w życie mniej więcej dwa tysiące aktów prawnych. Sektor finansowy, szczególnie bankowy, przestaje myśleć w kategoriach biznesowych, koncentrując się na wywiązywaniu się z kolejnych regulacji.

W Unii Europejskiej co roku wchodzi w życie mniej więcej dwa tysiące aktów prawnych. W związku z tym, że niektóre z nich są naprawdę obszerne i dotyczą szeregu szczegółowych kwestii, nie jest możliwe, żeby ktokolwiek znał wszystkie zawarte w nich zasady. A jeśli ich nie zna, to jak może ich przestrzegać?

Potężne banki, zatrudniające do tych celów sztaby ludzi, z trudem nadążają z „przerabianiem” treści różnego rodzaju informacji. A co mają powiedzieć mniejsze przedsiębiorstwa? Czy próbując zrozumieć legislacyjny mętlik, ich właściciele bądź zarządzający mieliby czas na prowadzenie swojej podstawowej działalności?

Czy banki walczą z tymi regulacjami?

Próbują to robić. Ale to też rodzi pewne patologie. Wywalczyły np. tzw. Nową Umowę Kapitałową, zwaną potocznie Bazyleą II. Miała ona profesjonalizować zarządzanie ryzykiem. Motyw jej podpisania był prosty i w założeniu słuszny: odchodzimy od ogólnych, sztywnych zapisów i miar dotyczących funkcjonowania banków na rzecz mechanizmów bardziej elastycznych, dostosowanych do profilu danego typu instytucji. Kuriozum sytuacji polega na tym, że to poszczególne banki miały opracowywać modele same dla siebie, a nadzorcy mieli je akceptować bądź nie. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że w Unii Europejskiej jest około sześciu tysięcy banków i nie jest możliwe, by organy nadzoru dysponowały zasobami





pozwalającymi rzetelnie ocenić jakość proponowanych rozwiązań. Mogą być wszak posądzeni o świadomą przewlekłość, brak kompetencji etc. Banki natomiast zatrudniały najbardziej renomowanych specjalistów od zarządzania ryzykiem, często noblistów. Dysproporcja była więc olbrzymia!

Jaki był tego efekt? Citi Group, który był wręcz motorem mechanizmów Bazylei II, działając w oparciu o zaprogramowane przez siebie modele, doprowadził do swojego bankructwa...

Regulatorzy często bronią się, mówiąc, że nadzór krajowy działa świetnie, niestety problemy są globalne i nic z tym nie można zrobić...

Każdy regulator ma, z wielu powodów, krajową optykę widzenia. Przede wszystkim dlatego, że ich odpowiedzialność ogranicza się do szczebla narodowego. Powoduje to liczne sytuacje konfliktowe. W bankowości mamy do czynienia z nadzorem *host*, czyli tego państwa w którym znajduje

się spółka zależna i nadzorem *home*, gdzie zarejestrowany jest podmiot dominujący. Każdy z tych regulatorów będzie dbał przede wszystkim o dobro podatników swojego kraju. I tak w kraju goszczącym, nadzór finansowy patrzy na inwestorów zagranicznych jak na potencjalnych przestępców, chcących wzbogacić się kosztem lokalnej gospodarki. Z kolei nadzorcę z kraju spółki-matki nie będzie specjalnie interesował los podmiotów od niej zależnych, umiejscowionych w innym państwie. Żaden nadzór nie jest rozliczany przez podatników ponadnarodowych. Jeśli odpowiedzialność fiskalna jest narodowa, a nadzór próbuje być ponadnarodowy, to raczej nic z tego nie wychodzi.

„Hazard moralny” można zwalczyć, eliminując istniejące dziś jaskrawe konflikty interesów. Czy agencje ratingowe, uwiarygadniające jakość sprzedawanego produktu finansowego, mogą być opłacane przez tych, którzy chcą go sprzedać? To tak, jakby skazaniec opłacał sędziego...

Próba odpowiedzi na ten problem ma być nadanie roli takiego ponadnarodowego regulatora Europejskiemu Bankowi Centralnemu. Miałby on przejąć nadzór nad około 160 bankami, które mają znaczenie systemowe.

A czy ten system dalej będzie funkcjonował w logice *too big to fail*?

Oczywiście, jest założenie, że banki te nie mogą upaść. A skoro nie mogą, to muszą być dokapitalizowane, bo w przeciwnym razie będzie katastrofa. Pojawia się tylko pytanie, kto ma to zrobić? Jeśli do tego sporu dodamy jeszcze transfery płynności, to mamy w Europie gotową wojnę ekonomiczną. Wszyscy będą się

nawzajem oszukiwali.

Czyli leczymy objawy, a nie przyczyny.

Trzeba zacząć od źródeł o charakterze systemowym, które napędzają ten „hazard moralny”. Przede wszystkim należy wyeliminować jaskrawe konflikty interesów. Czy zdrową można nazwać sytuację, w której audytor

jest finansowany przez tego, którego sprawdza? Agencje ratingowe, które powinny uwiarygadniać jakość sprzedawanego produktu finansowego, są opłacane przez tych, którzy chcą go sprzedać. Trudno tu mówić o całkowicie czystej sytuacji, budzącej stuprocentowe zaufanie. To trochę tak, jakby skazaniec opłacał sędziego czy prokuratorów...

Podobne zjawiska obserwujemy też w mniejszej skali. Jak możemy nazywać doradcą klienta kogoś, kto jest opłacany nie przez stronę kupującą, tylko przez instytucję sprzedającą? Taki „doradca” kieruje się swoim dobrem, które gwarantowane mu wysoka sprzedaż, a nie zadowoleniem klientów.

Osoba żyjąca z prowizji od sprzedaży jest brokerem, a nie doradcą.

Czy istnieje zatem jakieś remedium? Państwowe agencje ratingowe?

Remedium jest wszystko, co uwiarygadnia. Niekoniecznie muszą to być państwowi audytorzy. Przykład z innego rynku. W Niemczech wyceną danej nieruchomości zajmuje się dwóch analityków – zamawiający ocenę nie wie, kto ją robi. Podobnie analitycy, mimo że mają świadomość, że ich wycena będzie weryfikowana, nie wiedzą kto jej dokona. Nie mogą zatem pokusić się o jakiś „przekręt”, bo taka naciągana opinia w zestawieniu z drugą zdyskredytowałaby wiarygodność rzeczoznawcy. W ten sposób skutecznie ogranicza się korupcyjne procedery.

Nadmierna chciwość bankierów jest jednak jedną z najczęściej wskazywanych przyczyn kryzysu. Nie sądzi Pan, że to właśnie z nią należy walczyć? Czy nie powinno tego robić np. państwo, dbające o społeczną spójność i sprawiedliwość?

Wydaje mi się, że w napędzaniu gospodarki rynkowej chęcią zysku nie ma nic złego. Jednak w zdrowym systemie ta „chciwość” równoważona jest istnieniem ryzyka – „co zrobię, jak mi się nie uda?”. Żle jest, gdy ryzyko jest z tej układanki eliminowane. Paradoksalnie, często jest ono ograniczane właśnie przez państwowy interwencjonizm, mający w założeniu dbać o wartości, o których Pan wspominał.

Świetnie obrazuje to dobrze znane w ekonomii zjawisko cyklu świńskiego. Nie wdając się w szczegóły, chodzi o to, że rolnicy podejmując decyzję o wzroście podaży mięsa wieprzowego przez zwiększenie hodowli, muszą liczyć się z ceną paszy i odłożeniem zysków w czasie, co jest związane z okresem ciąży

maciory i tuczenia warchlaka. Tak jak większość cykli koniunkturalnych, tak i ten świński kończy się „górką”, spadkiem cen i dochodów rolników, przez co produkcja staje się nieopłacalna. Tak więc rolnik powinien brać pod uwagę możliwość wystąpienia takiej sytuacji. Tutaj do gry wchodzi jednak państwowy regulator, który za pieniądze podatników dokonuje interwencyjnych skupów żywca, czyli z punktu widzenia biznesowego – eliminuje, a przynajmniej w dużym stopniu ogranicza, ryzyko związane z działalnością hodowców świń. To skłania zaś do podejmowania bardziej brawurowych decyzji i oceniania swoich działań w krótkim, a nie długim horyzoncie czasowym.

Analogia z rynkiem finansowym wydaje się być ewidentna...

Zgadza się. Tzw. *bailout* instytucji finansowych, które *de facto* zbankrutowały, opierał się na tym samym mechanizmie. Pokusa „hazardu” w obydwu przykładach działa tak samo. W krótkim hory-

zoncie czasowym taka gra napędza gospodarkę. Ta krótkowzroczność jest dziś bardzo symptomatyczna – inwestorzy giełdowi nie patrzą na wyniki w perspektywie pięciu czy dziesięciu lat, jak to miało miejsce jeszcze choćby dwie dekady temu. Interesuje ich kwartalna stopa zwrotu. Takie oczekiwania rodzą reakcję spółek, które chcą „pompować” swoje wyniki w interwale trzymiesięcznym. Niestety, taka optyka działania prowadzi w dłuższym czasie do załamania, a w sytuacji braku dotkliwych konsekwencji za podejmowane ryzyko – do zubożenia społeczeństwa, które ponosi koszty ratowania upadających gigantów świata finansów.

A może otwiera się szansa na to, żeby korporacje wzięły na siebie coś więcej, niż tylko odpowiedzialność

za generowanie kwartalnych zysków? Czy społeczna odpowiedzialność biznesu z prawdziwego zdarzenia ma rację bytu?

Kwestia istnienia dwóch szkół, w różny sposób patrzących na cel istnienia przedsiębiorczości, jest dość znanym dylematem w filozofii ekonomicznej. Jedna z nich orientuje się na tzw. *stakeholder value* i bierze pod uwagę dobro wszystkich interesariuszy działalności przedsiębiorstwa: klientów, akcjonariuszy, pracowników i społeczności lokalnej, w której funkcjonuje firma. Druga zaś w swojej działalności kieruje się tzw. *shareholder value*, czyli kieruje się głównie interesem akcjonariuszy.

Pierwszy model był dość popularny w Europie, np. w Niemczech, w kierowanym przez Hilmar Koppera Deutsche Banku. Drugi, dużo bardziej dziś popularny, to produkt świata anglosaskiego – zakładał, że kierowanie się zyskiem akcjonariuszy wystarczy, a dobrem reszty interesariuszy „zajmą się” inne rynkowe mechanizmy czy państwo.

Skąd wynikało to różnicowanie? Dlaczego właściciele np. Deutsche Banku chcieli, by prezes tej instytucji dbał o losy środowiska lokalnego czy pracowników? Jaki mieli w tym interes?

To kwestia kultury, ideologii, postrzegania świata. Panowało przekonanie, że w cywilizowanej Europie nie można sobie pozwolić na powstawanie zbyt dużego różnicowania, napięć i konfliktów społecznych. Widmo wojny wciąż krążyło nad Starym Kontynentem i żyło w świadomości jego mieszkańców. Dlatego starano się zabezpieczać interesy szerszych kręgów społecznych. Trzeba pamiętać, że w radach nadzorczych niemieckich

spółek często połowę składu stanowią ich pracownicy. A to właśnie te ciała decydują o konstrukcji kontraktów menadżerskich.

Dlaczego ten model nie przetrwał i oddał pole bardziej „chciwej” formie organizacji gospodarki?

Moim zdaniem, choć zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach nie jest to opinia bardzo popularna, w obszarze wytwarzania dóbr i usług musi panować normalna, darwinowska gospodarka rynkowa. To znaczy musi być chęć zysku, a nawet chciwość. Jednak – tak jak wspominałem – bezwzględnie muszą być one hamowane świadomością podejmowanego ryzyka.

Skąd pomysły na rozwiązywanie współczesnych problemów poprzez zwiększenie regulacji? Regulacje to władza. Tak jak w ekonomii motorem napędowym jest chęć zysku, tak w Realpolitik analogiczną rolę odgrywa chęć posiadania jak największej władzy.

Natomiast zabezpieczeniem dobrostanu społeczeństwa powinno zajmować się państwo. Od tego są podatki, po to istnieje państwowa redystrybucja dochodów. Dodam, że w moim odczuciu podatki powinny być nieukninione dla wszystkich. Niedopusz-

czalna jest bowiem sytuacja, w której pojawiają się jednostki unikające tego obowiązku, tzw. *freeriders*, którzy „ślizgają się” na plecach uczciwych podatników. Takie postawy demoralizują – skoro ktoś miga się od uczestniczenia w systemie społecznej odpowiedzialności i w sensie ekonomicznym „wygrywa”, to dlaczego ja nie miałbym postępować podobnie?

Ale czy w kontekście panujących obecnie nastrojów społecznych da się jasno powiedzieć, że świat gospodarki i świat społecznej sprawiedliwości to dwie zupełnie odrębne rzeczywistości? Ludzie tęsknią za poczuciem bezpieczeństwa, chcą większej regulacji sektora finansów, oburzają ich horrendalne pensje prezesów banków.

Ludzie nie domagają się regulacji. Chcą jednej, prostej rzeczy: sprawiedliwości. Ludzie oczekują, że winni rozpętania kryzysu poniosą karę. Ostre regulowanie obszaru gospodarki nie gwarantuje istnienia sprawiedliwości czy bezpieczeństwa społecznego. To politycy myślą, że da się to załatwić za pomocą legislacyjnej ofensywy, ale jest to ślepa uliczka.

To dlaczego brną w tym kierunku? Z niewiedzy? Braku innych pomysłów?

Czasami jest to niewiedza, brak kompetencji, odpowiedniego zaplecza etc. Nie da się jednak ukryć, że regulacje to też władza. A tak jak w ekonomii motorem napędowym jest chęć zysku, tak w *Realpolitik* analogiczną rolę odgrywa chęć posiadania jak największej władzy.

O AUTORZE:

Dr hab. Leszek Pawłowicz, prof. UG jest ekonomistą, kierownikiem Katedry Bankowości Uniwersytetu Gdańskiego oraz członkiem Komitetu Nauk o Finansach Polskiej Akademii Nauk. Jest także wiceprezesem Zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową oraz dyrektorem Gdańskiej Akademii Bankowej. Oprócz tego pełni funkcję prezesa Rady Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie S.A., wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej Banku Pekao SA i PKN Orlen SA, członka Rady Nadzorczej Best S.A. Autor wielu publikacji nt. zarządzania wartością przedsiębiorstwa, finansów i bankowości. Inicjator i organizator Europejskiego Kongresu Finansowego.

PORZUĆMY IDEOLOGIE



*prof. Ladislau
Dowbor*

*Pontificia Universidade
Católica de São Paulo*

Ideologia jest rzeczą bardzo praktyczną. Pozwala nam być pewnym swojej racji bez konieczności naukowego jej udowadniania. Nie trzeba rozumieć – wystarczy „wiedzieć”. Im mniej bezpiecznie się czujemy, tym bardziej to przekonanie jest nam potrzebne. Pewność swego jest uczuciem bardzo komfortowym – szczególnie, jeżeli oznacza że ludzie, których nie lubimy, są w błędzie.

Zmiana perspektywy

Moja rodzina przeniosła się do Brazylii w 1950 roku. Światopogląd ojca zawsze skłaniał go w kierunku prawej strony sceny politycznej. W 1964 roku w naszym kraju nastąpił zamach stanu. Przemoc i posyłanie ludzi do więzień uzasadniane były – typowymi w takich sytuacjach – głęboko moralnymi i demokratycznymi motywacjami. Ojciec chłonał to wszystko – wierzył,

*Ideologia pozwala nam być
pewnym swojej racji bez
konieczności naukowego
jej udowadniania. Nie
trzeba rozumieć – wystarczy
„wiedzieć”.*

że przewrót ma na celu ratowanie demokracji, walkę z korupcją, obronę wartości rodzinnych.

W wieku 66 lat przeszedł na emeryturę i kupił chatkę nad rzeką Tocantin w rejonie Amazonki. Przepiękna natura i dramatyczne ubóstwo. Wioska składająca się z nie więcej niż trzydziestu chat. Ojciec widział, jak córkę sąsiada gwałcili i zabijali żołnierze wynajęci przez korporację zainteresowaną przejęciem chłopskich gruntów. Widział ludzi umierających z powodu niegroźnych chorób, gdyż miejsca tego nigdy nie odwiedzał lekarz. Niekiedy – w razie potrzeby i w miarę swoich możliwości – sam starał się więc pomagać chorym. Tworzył mapy, rejestrował nieruchomości, próbował ratować ziemię.

Moja matka wróciła do Polski, gdy ja pracowałem tam nad doktoratem. Pokazała mi listy, jakie pisał do niej ojciec. Jego spojrzenie na świat i politykę zostało wywrócone do góry nogami. Jako inżynier zawsze patrzył na świat „z lotu ptaka”. Z takiej perspektywy wydawał się on dość komfortowy i dobrze zorganizowany. Gdy przeniósł się do chaty w Amazonii zobaczył, jak „od dołu” wygląda polityka. Moim zdaniem to, że w wieku ponad sześćdziesięciu lat potrafił on przyznać, że jego wcześniejsza wizja świata była całkowicie błędna, to wielki akt odwagi.

Logika czytelnika

Brakuje mi ojca, jednak nie dlatego wspominałem o nim w tym tekście. Niech jego historia skłoni nas do zastanowienia się, jak bardzo nieracjonalne mogą być nasze przekonania. Świat zmienia

się coraz szybciej, a ludzie czują się coraz bardziej zagubieni. Pojawia się silna pokusa, by zapomnieć o podstawowych ludzkich wartościach i chwycić się ideologii. Wyznawanie jej poglądów sprawi, że będziemy czuli się prawi i bezpieczni.

Czytelnicy *The Economist* zazwyczaj czują się bezpiecznie. Brak równości jest słuszny – środki finansowe w rękach bogatych przerodzą się w inwestycje, które stworzą miejsca pracy i napędzą dobrobyt, a pieniądze w rękach biednych przyczynią się jedynie do konsumpcji i doprowadzą nas do ślepego zaułku. Im większe kwoty na rachunkach bankowych firm, tym lepiej, gdyż prywatne środki są zazwyczaj wydawane efektywniej, a pieniądze publiczne równają się podatkom i korupcji. Ograniczanie miejsc pracy jest dobre – mniejsze przedsiębiorstwo to większa rentowność. A bezrobotni znajdą sobie przecież coś innego do roboty. Dobre są też oczywiście wielkie banki. Mają tak dużo pieniędzy i tak potężną siłę polityczną, że nie mogą upaść. Nasze oszczędności są więc bezpieczne, co oznacza, że bezpieczni jesteśmy także i my.

A co z mobilnością społeczną? Cóż, żyjemy w demokracji, mamy wolny rynek i sami możemy decydować o swoim losie. Każdy, kto spróbuje się wybić, będzie miał swoją szansę do wykorzystania. Biedni więc w pewien sposób sami zasłużyli na to, co mają.

*Świat zmienia się coraz
szybciej, a ludzie czują się
coraz bardziej zagubieni.
Pojawia się silna pokusa, by
zapomnieć o podstawowych
ludzkich wartościach
i chwycić się ideologii.
Wyznawanie jej poglądów
sprawi, że będziemy czuli się
prawi i bezpieczni.*

Milton Friedman posunął się nawet kiedyś do poparcia stwierdzenia, że „większa nierówność pobudziłaby ludzi do cięższej pracy i poprawy produktywności”. Wskazuje to, że nierówność dochodów da się polubić – w pewien sposób jest ona korzystna dla biednych, a jednocześnie jest doskonała dla kieszeni bogatszych.

Prawdziwy Progresywizm

Wiele lat upłynęło zanim *The Economist* przetrzął oczy i ponownie przyjrzał się faktycznej sytuacji. Pod koniec 2012 roku gazeta zdecydowała się wziąć przykład z mojego ojca. Swoje rozważania nazwała *Prawdziwym Progresywizmem* (ang. *True Progressivism*). Wyraz „prawdziwy” ma tutaj istotne znaczenie, gdyż progresywizm jest tradycyjnie utożsamiany z liberałami (tutaj w rozumieniu amerykańskiej lewicy), a z tym nurtem czytelnicy tego pisma, broń Boże, nie chcą się utożsamiać. Niemniej jednak była to doniosła zmiana dla gazety, będącej pewnego rodzaju biblią dla wyrafinowanej myśli prawej strony sceny politycznej. *The Economist* zawsze bowiem czytało się naprawdę przyjemnie, w szczególności dlatego, że pozwalała pielęgnować to miłe uczucie, że faceci po drugiej stronie barykady są idiotami nierozumiejącymi prostych rzeczy, które są tak jasne dla naszych umysłów.

I tak, w swoim specjalnym raporcie z 13 października 2012 roku na temat *Prawdziwego Progresywizmu*, *The Economist* poruszył oczywisty fakt – „w ciągu ostatnich 30 lat dochody wzrastały zarówno wśród bogatych, jak i ultrabogatych. Im wyżej drabiny dochodów, tym większy wzrost. Konsekwencją była wielka i rosnąca przepaść finansowa, społeczna i geograficzna pomiędzy elitą Ameryki a resztą kraju”.

Wraz z kryzysem z 2008 roku sytuacja uległa pogorszeniu. „Ponad 90% całego przyrostu dochodów od czasu zakończenia recesji trafiło do najbogatszego 1% Amerykanów”. Państwowa redystrybucja dochodu? „Rząd federalny wydaje cztery razy

więcej na subsydiowanie budownictwa dla najbogatszych 20% Amerykanów (poprzez odliczenia z tytułu odsetek od kredytów hipotecznych) niż na budownictwo komunalne dla najbiedniejszych 20% społeczeństwa”. Dlaczego? „Wzrost kumoterstwa pomiędzy Wall Street a Waszyngtonem w ciągu ostatnich 30 lat pozwolił finansistom przechylić zasady na swoją korzyść. Sektor finansowy (wraz z sektorem nieruchomości i ubezpieczeń) zatrudnia więcej lobbystów niż praktycznie każdy inny, tj. około czterech na jednego kongresmana”. Pięknie ujęła to Hazel Henderson: „Mamy najlepszy kongres, jaki można kupić za pieniądze”.

W ten sposób dotarliśmy do kluczowej kwestii. Zupełnie zmieniając swoje wieloletnie poglądy, starając się jednocześnie, aby zmiana ta była możliwie elegancka, *The Economist* stwierdza, że „ostatnie badania potwierdzają jednak pogląd, że nierówność może być nieskuteczna”. Co więcej, „analizy ekonomistów Międzynarodowego Funduszu Walutowego sugerują, że brak równości dochodów spowalnia wzrost gospodarczy, powoduje kryzysy finansowe i osłabia popyt. (...) Wszystkie grupy społeczne coraz częściej zgadzają się, że nierówności na świecie rosną oraz że dzisiejsze dysproporcje, jak i ich spodziewany rozrost, są niebezpieczne”. Prostymi słowy – ci na dole drabiny pozostają na niskim szczeblu lub są spychani jeszcze bardziej. Potwierdza to ranking budowany na bazie wskaźnika nierówności szans, w którym Stany Zjednoczone i – w szczególności – Brazylia wypadają bardzo słabo.

Maszyna generująca przywileje

Wracamy więc do podstaw – do problemu podziału dochodów. Prawa strona sceny politycznej opowiada się za małym udziałem państwa i skoncentrowaniem środków w prywatnych rękach, ufając, że biznes wie, co robi. Z kolei lewe skrzydło preferuje większą równość oraz silną politykę prospołeczną państwa, dzięki której społeczeństwo będzie bardziej zrównoważone.

Trendy, które badamy ostatnio na Uniwersytecie Katolickim w São Paulo, pokazują w dość oczywisty sposób, że polityki tworzone przez rząd zostały przejęte przez interesy biznesu. Wprowadza to bałagan w funkcjonowaniu obydwu tych sfer. Przedsiębiorstwom znacznie łatwiej jest wówczas polegać na dotacjach niż dążyć do osiągania dobrych rezultatów ekonomicznych i społecznych. Z kolei rządowi coraz trudniej jest stawić czoła kluczowym problemom społecznym i ekonomicznym, w sytuacji, gdy każde prawo i każdy przepis są w całości pokryte wielkimi, „korporacyjnymi odciskami palców”. Francuski rzecznik praw obywatelskich Jean-Paul Delevoye elegancko ubrał to w słowa:

„łatwiej jest pozbawić biednych niezbędnych rzeczy niż bogatych rzeczy zbytecznych”.

Najbardziej niepokojący jest fakt, że problemy – przed którymi stajemy – wcale nie wynikają z nadmiernej konsumpcji biednych Greków, Hiszpanów czy Amerykanów kupujących domy, na które nie mogli sobie pozwolić. Ich źródłem

jest ogromna maszyna generująca przywileje, wbudowana w ogólny proces decyzyjny w społeczeństwie. Przyczyniła się ona nie tylko do tego bałaganu, ale też stale wtrąca się w każdą próbę jego uporządkowania.

Bankowcy, lobbyści i ich generujące premie kierownictwo zawsze rozpaczliwie potrzebują pieniędzy. Nie oznacza to, że potrzebują pieniędzy z desperacji – to pożądanie leży w ich instytucjonalnej naturze. Jakby to powiedział jeden z rekinów z Wall Street – „chciwość jest dobra”. Dobrze

jest czuć się panem świata i popuszczać cugle swojej ideologii, szczególnie gdy jest ona zgodna z naszymi interesami.

Za przykładem Brazylii i Polski

Brazylijską ścieżkę rozwojową cechują pragmatyczne wybory – kierowanie pieniędzy nie do banków, ale tam, gdzie są one bardzo potrzebne i gdzie najlepiej pracują. W Kraju Kawy wyciągnięto dzięki temu z ubóstwa 40 milionów ludzi. Mają oni teraz co jeść, ich dzieci lepiej radzą sobie w szkołach. Nie zostali wsparci wielkimi kwotami. Nie przełożyło się to na spektakularny wzrost PKB. Pieniądze te jednak w znaczący sposób poprawiły warunki

życia tych ludzi. Cała Ameryka Łacińska wyznaje zasady opisane w trendotwórczym opracowaniu *La Era de la Igualdad* (Wiek równości). Duża część biznesu zaczyna poważnie traktować kwestie społecznej odpowiedzialności przedsiębiorstw. Na światowej konferencji Rio+20 – *The Future we Want*, spora grupa miast zrzeszonych

Polityki tworzone przez rząd zostały przejęte przez interesy biznesu. Wprowadza to bałagan w funkcjonowaniu obydwu tych sfer. Przedsiębiorstwom znacznie łatwiej jest polegać na dotacjach niż dążyć do osiągania dobrych rezultatów, z kolei rządowi coraz trudniej jest stawić czoła kluczowym problemom społecznym i ekonomicznym.

w ruchu C40¹ zdecydowała się na opracowanie lokalnych, zrównoważonych polityk, nie czekając na zmiany na poziomie państw.

Bardzo interesujący jest przykład Polski. Kładzie się tu duży nacisk na rozbudowę rynku wewnętrznego oraz wsparcie dla małych i średnich przedsiębiorstw. Nie bez znaczenia są też obszerne zabezpieczenia regulacyjne rynków finansowych. Brazylia i Polska

1 C40 Cities Leadership Group – zrzeszenie 40 światowych metropolii, których głównym celem jest redukcja emisji gazów cieplarnianych.

*Problemy, przed którymi
stajemy wcale nie wynikają
z nadmiernej konsumpcji
biednych ludzi. Ich źródłem
jest ogromna maszyna
generująca przywileje bogatych,
wbudowana w ogólny proces
decyzyjny systemu.*

dają szansę zdrowemu rozsądkowi i potrafią nawigować na falach kryzysu lepiej niż większość państw

na świecie. Chciwość jest nie tylko zła, ale po prostu nie działa, podobnie jak większość uproszczonych, uniwersalnych polityk.

Zapraszam – przyłączcie się do mnie i do mojego zmarłego ojca. Nie chcę, żebyście zastępowali jedną ideologię drugą. „Zakopmy” dominujące nurty ideologii ekonomicznej – myślowe skróty, życzeniowe wizje i uproszczenia związane z funkcjonowaniem rynku i państwa. Spróbujmy zmienić nie tylko odpowiedzi, ale także pytania. Zasadniczy dylemat, od którego powinniśmy wyjść brzmi: co sprawia, że rzeczywiście żyje nam się lepiej?

O AUTORZE:

Prof. **Ladislau Dowbor** jest ekonomistą, pracownikiem naukowym Pontificia Universidade Católica w São Paulo w Brazylii. Pełni rolę konsultanta w agendach ONZ, współpracował także z byłym prezydentem Brazylii Luizem Inácio da Silva. Prowadzi bloga dostępnego pod adresem <http://dowbor.org/>.



*prof. Paul H.
Dembinski*

*współtwórca i dyrektor
Obserwatorium Finansowego
w Genewie*

GLOBALNE KORPORACJE ZAMIAST PAŃSTW?

Rozmowę prowadzi Leszek Szmidtke – dziennikarz „Pomorskiego Przeglądu
Gospodarczego” i Radia Gdańsk

Leszek Szmidtke: Jaka jest rola korporacji we współczesnym świecie? Czy są to po prostu wielkie przedsiębiorstwa, zarabiające ogromne pieniądze, czy jednak coś więcej?

Paul H. Dembinski: Można powiedzieć, że na poziomie globalnym mamy około tysiąca korporacji, których znaczenie ekonomiczne jest o wiele większe niż wskazują ich wyniki finansowe czy wytwarzana przez nie bezpośrednio wartość dodana. Moc ich oddziaływania jest wypadkową posiadanych łańcuchów dostaw, dystrybucji oraz innych procesów biznesowych. Według moich szacunków jest ona równa 50 proc. globalnego PKB. Jest to wystarczająco dużo, by twierdzić, że korporacje mają

Korporacje mają strukturyzujący wpływ na globalną gospodarkę. Dzieje się tak zarówno ze względu na ich wielkość, jak i „pasy transmisyjne” pewnej kultury organizacyjnej – standardy i wymogi, które stosują wobec swoich biznesowych partnerów.

strukturyzujący wpływ na globalną gospodarkę. Dzieje się tak zarówno ze względu na ich wielkość, jak i „pasy transmisyjne” pewnej kultury organizacyjnej – standardy i wymogi, które stosują wobec swoich biznesowych partnerów. Korporacje są więc *de facto* czymś o wiele więcej niż tylko przedsiębiorstwami w ujęciu podręcznikowym.

Financial Stability Board wyłoniła trzydzieści banków o strategicznym znaczeniu systemowym. Mówi się – choć jeszcze nie całkiem jasno – że owa nadzwyczajna istotność tych instytucji obarcza je pewną odpowiedzialnością i specjalnymi wymogami. Można sobie wyobrazić, że do podobnej sytuacji dojdzie także w innych sferach: farmacji, telekomunikacji, transportu lotniczego, nie mówiąc już o tzw. sektorze „big data”, do którego należą Google czy Facebook. Te firmy odgrywają przecież rolę polityczną – oczywiście, nie w sensie bezpośrednim, ale w dużym stopniu przyczyniają się do budowy społeczno-gospodarczego ładu.

Jak zatem może wyglądać społeczno-polityczna kontrola nad takimi podmiotami? Rządy są w stanie w jakiś sposób wpływać na transnarodowe korporacje, wymagając od nich włączenia się w odpowiedzialność za świat?

Teoretycznie jest to możliwe, tyle tylko, że przypominałoby to trochę sytuację, w której pies goni własny ogon. Z jednej strony wiemy, że ramy zasięgu





VIVUS ORDO GILDIUS CORPORATIO 

działalności gospodarczej są większe niż ramy zasięgu dzisiejszych rządów. Konieczna byłaby więc koordynacja polityczna również na poziomie globalnym. Jednak realizacja koncepcji *global governance* kuleje od mniej więcej trzydziestu lat. Przedsiębiorstwa transnarodowe, co wydaje się oczywiste, nie są specjalnymi zwolennikami tego typu rozwiązań. Po co im kolejny regulator czy „strażnik”? Dlatego – w moim odczuciu – bardziej realne jest stworzenie statusu przedsiębiorstw o dużej istotności systemowej i politycznej. To rozwiązanie nie byłoby czymś zupełnie nowym. Jeżeli popatrzymy w historię, okazuje się, że pierwowzorami korporacji międzynarodowych były tzw. *chartered companies*, które obejmowane były specjalnym patronatem państwowym. Taki status nadawano przedsiębiorstwom działającym w obszarze handlu, eksploracji nowych terenów czy ich kolonizacji. Dzięki temu zyskiwały one zarówno specjalne prawa, jak i dodatkowe obowiązki. Wydaje się, że dziś jest to pomysł, do którego można wrócić na poziomie globalnym.

Wspominał Pan, że korporacje niespecjalnie garną się do tego typu rozwiązań. Wydaje się, że podobnie zachowują się reprezentanci strony rządowej.

W mojej opinii grunt pod takie rozwiązanie po obu stronach nie jest całkowicie negatywny. Korporacje nie rwą się do niego, ale nie mówią też stanowczo „nie”. Owszem – opór jest zauważalny także po stronie państw. Za pewien przełom należy jednak traktować uznanie przez polityków, że biznes to nie podwładni, lecz partnerzy, jak również zrozumienie, że nie tylko polityka determinuje działalność ekonomiczną – następuje tu też sprzężenie zwrotne. Duże podmioty gospodarcze biorą udział w kształtowaniu wszelkiego rodzaju norm: zaczynając od reguł rachunkowych, a kończąc na prawach własności intelektualnej czy na standardach pracy. Wydaje mi się więc, że taka zmiana w postrzeganiu znaczenia korporacji jest możliwa. Oczywiście, nie zdarzy się ona w mgnieniu oka, ale chodzi o to, żeby w jakiś sposób się do niej intelektualnie przygotować.

W pewnym stopniu mamy już do czynienia z poza-ekonomicznym angażowaniem się korporacji. Mowa tu oczywiście o społecznej odpowiedzialności biznesu. Mam jednak wątpliwości, czy o to właśnie Panu chodzi.

Nie, nie myślę tutaj o CSR (ang. *Corporate Social Responsibility*; społeczna odpowiedzialność biznesu – przyp. red.), bo ona działa na zasadzie rynkowej – jest to element konkurencji. Nie mam też na myśli sytuacji, w której ktoś robi coś, bo mu się to zwyczajnie podoba – wybuduje szkołę, założy fundację, zostanie mecenasem wystawy. To wszystko jest bardzo ważne, ale nie stanowi istoty problemu. Chodzi o to, żeby szerokie zaangażowanie społeczne było wpisane w cały system. Pierwszym krokiem powinno być większe otwarcie się korporacji pod względem informacyjnym. Niewiele dziś wiemy o tym, co dzieje się w wielkich firmach – w zasadzie tylko tyle, ile chcą nam one o sobie powiedzieć. Raporty roczne mówią nam dużo, ale są kierowane do inwestorów, więc przeczytamy w nich głównie o sytuacji finansowej. Natomiast praktycznie niemożliwe jest uzyskanie wiedzy na temat wpływu np. McDonald’sa czy Starbucksa na sferę fiskalną gospodarki francuskiej, amerykańskiej czy polskiej. A są to informacje, które powinny „leżeć na stole”. Paradoks dzisiejszej sytuacji polega na tym, że żyjemy w przeinformowanym świecie, a mamy znikome dane na temat tego, co tworzy połowę naszego globalnego bogactwa. Pewne zobligowanie korporacji do otwarcia informacyjnego oraz większa przejrzystość ich funkcjonowania jest więc pierwszym etapem wchodzenia przez nie w nową rolę.

Nad światem polityki społeczeństwo ma, choćby teoretyczną, kontrolę. O jakiej kontroli społecznej możemy mówić w przypadku wielkich przedsiębiorstw? Czasami taką rolę może pełnić akcjonariat, ale powstaje pytanie, czy nie jest on zbyt rozproszony i płynny?

*Działalność korporacji
zaczyna wykraczać poza
sferę ekonomiczną. Pora więc
na większą troskę o otoczenie.
Nie chodzi tu o „społeczną
odpowiedzialność biznesu”,
która jest dziś de facto
elementem gry rynkowej, tylko
o rozwiązania systemowe.*

Dziś nie możemy mówić o akcjonariacie jako o pewnym spójnym i w miarę trwałym podmiocie. Statystyka mówi nam, przy zastrzeżeniu płynącym z jej naturalnych ograniczeń, że średni czas trzymania akcji w portfelu oscyluje w okolicach kilku miesięcy. Nie mamy więc do czynienia z udziałowcami rodem z XIX wieku, kiedy to pakiety kontrolne przekazywało się z pokolenia na pokolenie. Obecnie akcjonariat nie podąża za przedsiębiorstwem, nie jest mu wierny. Charakteryzuje go tzw. nomadyzm – łatwo jest mu „zwinąć manatki” i udać się w inne miejsce. Takie, które w danej chwili przyniesie większe zyski.

Natomiast jeśli chodzi o przełożenie mechanizmów demokracji na funkcjonowanie korporacji, to trzeba jasno przyznać, że jest ono znikome. Oczywiście, trochę przeczy tej tezie przykład Stanów Zjednoczonych – można powiedzieć, że mają one wpływ na funkcjonowanie przedsiębiorstw transnarodowych o amerykańskim rodowodzie. Do pewnego stopnia taką siłę ma również Unia Europejska. Natomiast w zdecydowanej większości państw świata o czymś takim nie ma mowy. Weźmy na przykład Szwajcarię, z której wywodzi się szereg przedsiębiorstw o globalnym zasięgu działania. Gdy w kraju tym dochodzi do ważnych głosowań, niektóre z tych korporacji dają do zrozumienia, że jeśli jego wynik będzie nie po ich myśli, to są one skłonne zmienić swoją lokalizację, zabierając tym samym

państwu znaczne dochody podatkowe i ogromną liczbę miejsc pracy.

Takie sytuacje dowodzą, że istnieje duża potrzeba partnerstwa polityczno-gospodarczego. Ale nie takiego z doskoku, *ad hoc*, kularowego, tylko wyrażonego *expressis verbis* z jasnym podziałem odpowiedzialności, obowiązków i praw.

A konkretniej?

Po pierwsze potrzebna jest identyfikacja specyficznej grupy korporacji, które uznawane są za strategicznie ważne. Takie podmioty powinny zostać objęte pewnym specjalnym obowiązkiem informacyjnym, a publikowane przez nie dane mieć status informacji publicznej. Konieczne będzie też włączenie ich w obieg normotwórczy, ale nie na obecnych zasadach kularowego lobbingu czy wywierania mniej lub bardziej formalnych nacisków. Można sobie wyobrazić powstanie oficjalnych ciał zrzeszających te instytucje. Za ich pośrednictwem korporacje brałyby czynny udział w projektowaniu rozwiązań legislacyjnych – czy to na poziomie narodowym, parlamentarnym czy globalnym, np. na forum ONZ. W pewnym stopniu, w mniej formalnym charakterze, taki proces zachodzi np. w Davos na Światowym Forum Ekonomicznym. Chodzi więc o to, by tę wzajemną współpracę i partnerstwo wmontować w ład społeczno-gospodarczy dzisiejszego świata. Bez tego nie uda się zatrzymać jego powolnego pęknięcia...

*Wpływ państw
na funkcjonowanie korporacji
jest znikomy. Aby zmienić
tę sytuację, potrzebne jest
partnerstwo polityczno-
gospodarcze z jasnym
podziałem odpowiedzialności,
obowiązków i praw.*

Dla korporacji oznacza to nowe obowiązki. Co mają one otrzymać w zamian?

Przede wszystkim mogą dostać tzw. *licence to operate*, czyli pewnego rodzaju polityczne i społeczne przyzwolenie na działalność. Pojawia się pytanie – do czego taka „licencja” byłaby im potrzebna? Status ten uwiarygodniłby posiadający go podmiot w oczach opinii publicznej. Wiemy przecież, że korporacje – podobnie jak politycy – nie cieszą się dziś wysokim zaufaniem. Zdobywając je, znacznie łatwiej będzie im funkcjonować w społecznym i politycznym otoczeniu ich biznesu. Oczywiście, zakładam, że taka pozycja nie będzie wykorzystywana w sposób nieczyliwy i nieuczciwy.

Druga sprawa, również poniekąd związana z budowaniem zaufania, to kwestie fiskalne. Obecnie w debacie międzynarodowej dużo mówi się o tzw. *global taxing*. Najczęściej wybrzmiewa ona jednak w kontekście bardziej sprawiedliwej redystrybucji światowego PKB. Stanom

Zjednoczonym czy niektórym krajom UE dużo łatwiej – co nie oznacza, że całkowicie bezproblemowo – jest ściągnąć z korporacji należne podatki, niż krajom biedniejszym. Te ostatnie w dużym stopniu ponosić więc muszą koszty związane z funkcjonowaniem globalnych gigantów, nie uzyskując adekwatnych korzyści. Wspólny, ujednolicony podatek, to nie tylko profity dla najuboższych państw i społeczeństw. To też duże uproszczenie działalności korporacji, które na obsługę fiskalnej sfery swojej działalności ponoszą niemałe koszty. Rzecz jasna, takie rozwiązania nie są szczególnie entuzjastycznie przyjmowane przez najbardziej

rozwinęte kraje, które musiałyby się podzielić dzisiejszymi dochodami podatkowymi.

Przykład Indii pokazuje jednak, że państwa spoza grupy G8 też potrafią radzić sobie z korporacjami.

Gdy Indie odmówiły firmie Novartis przedłużenia patentu na lek przeciwko białaczce, było to wielkim szokiem nie tylko dla tej korporacji i branży farmaceutycznej, lecz także dla całego gospodarczego świata. Okazało się, że w pewnych okolicznościach własność intelektualna nie jest najwyższą wartością i że są rzeczy od niej ważniejsze. Dopóki mamy palące potrzeby społeczne, dopóty prawa autorskie scho-

dzą na drugi plan. Mieliśmy więc do czynienia z próbą zburzenia, zredefiniowania istniejącego porządku. To był, jak to wtedy nazwałem, początek drugiej dekolonizacji. Jej konsekwencje były rażące zarówno dla stabilności finansowej przedsiębiorstw, jak i dla całego ruchu związanego z innowacyjnością i ochronieniem tzw. własności intelektualnej. To jest kolejna

Krajom wysoko rozwiniętym znacznie łatwiej niż tym biedniejszym jest ściągnąć z korporacji należne podatki. Wspólny, ujednolicony globalnie podatek oznaczałby profity dla najuboższych państw i społeczeństw, a także byłby dużym uproszczeniem działalności globalnych przedsiębiorstw.

kwestia, która może stać się przedmiotem globalnego dialogu między światem polityki i gospodarki – jakie są możliwości i granice patentowania, jaka jest związana z tym odpowiedzialność?

Pole do negocjacji na tej linii wydaje się nieograniczone. Ale czy to wszystko, o czym Pan mówi, nie ma miejsca już w tej chwili?

W pewnym sensie tak, jednak największym problemem jest to, że dzieje się to w wielu różnych miejscach, na wielu różnych forach, a do tego jeszcze w nieoficjalnej formie. To rozproszenie powoduje niesamowity chaos informacyjny i pojęciowy.

Ochrona konsumentów, praw własności intelektualnej, standardów rachunkowych etc., mimo że dotyczą wyłącznie sfery działalności gospodarczej, nierzadko są ze sobą sprzeczne, wzajemnie się wykluczają. Powodem takiego stanu rzeczy jest to, że debata ta – choć międzynarodowa – jest bardzo fragmentaryczna, szczegółowa i techniczna. Mało kto jest w stanie spojrzeć na to wszystko z lotu ptaka, uzyskać szeroki obraz sytuacji. Jest to na rękę korporacjom, które stać na zatrudnianie najlepszych specjalistów, potrafiących przechylić przyjmowane rozwiązania na ich korzyść.

A czy za globalny kryzys nie jest też odpowiedzialna druga strona medalu – państwa? Wydatki na opiekunczą sferę ich działalności i związane z nimi zadłużenie rosły horrendalnie.

Zgadzam się, zadłużenie państw urosło niebotycznie. Ale wspomniany rozrost opiekuńczości nie wziął się znikąd. Wynikał on z tego, że dzisiejsze społeczeństwa, mimo że na pierwszy rzut oka syte, są schorowane.

Brak perspektyw dla młodych ludzi wywołuje u nich zniechęcenie, depresję i radykalizuje ich nastroje. Ludzie pracy, będący pod ciągłą presją produktywności, zaniedbują życie społeczne i popadają w apatię – tutaj swoje trzy grosze dorzucają korporacje. Symptomatyczną zmianą jest też to, że gospodarka wchłonęła wiele sfer naszej egzystencji, które wcześniej funkcjonowały w pozarynkowej rzeczywistości. Ekonomizacja życia sprawiła, że w wielu przypadkach ogołociliśmy je z ważnych wartości. Spożywanie posiłków może być, z punktu widzenia ekonomicznego, bardziej efektywne, jeśli robimy to w restauracji. Oszczędzamy czas, który możemy poświęcić np. na pracę, dajemy zarobić innym itp. Taki punkt widzenia nie bierze jednak

Ekonomizacja życia sprawiła, że w wielu przypadkach ogołociliśmy je z ważnych wartości. Nie dziwi więc, że niektóre państwa chcą temu przeciwdziałać, przeznaczając ogromne nakłady na opiekę.

pod uwagę, że przy okazji przygotowywania posiłków w domu zachodzi szereg społecznych zjawisk i interakcji – budują się więzi rodzinne, przekazywane są społeczne normy, a także uczucia. To tylko przykład, który pokazuje, że tkanka dzisiejszych społeczeństw jest bardzo narażona na rozkład. Nie powinna więc dziwić reakcja państw, które chcąc temu przeciwdziałać i zapobiegać społecznym bolączkom, zwiększają nakłady na opiekę i sięgają po usługi specjalistów z tej dziedziny.

Czy korporacje mają interes w tym, żeby partycypować w opiece nad społeczeństwem?

Zdecydowanie tak. Po pierwsze, pracownicy tych firm nie funkcjonują w próżni – są przecież członkami różnych wspólnot. Zarządzającym powinno zatem zależeć na jak najlepszej kondycji swoich ludzi. Społeczne zaangażowanie korporacji będzie też motywowane ekonomicznie. W ostatnich trzydziestu latach doszło do znacznego skrócenia czasowego horyzontu działalności gospodarczej. Inwe-

stycje przesunęły się ze sfery realnej na rynki finansowe, dające możliwość szybkiego zarobku i zwiększania wartości przedsiębiorstw. Skutek jest taki, że dzisiaj korporacje siedzą na górze pieniędzy i nie bardzo wiedzą, co mają z nimi zrobić. Dlaczego? Bo bezrefleksyjne pompowanie zysków nie jest zgodne z duchem przedsiębiorczości. Ludzie zakładają biznes, bo mają rzeczywiste pomysły i chcą je realizować – rzadko chodzi tylko o pieniądze. Brak zaangażowania w długoterminowe projekty jest niezdrowy zarówno dla firm, jak i dla ich otoczenia. Społeczeństwa potrzebują prywatnych inwestycji, np. w infrastrukturę. To są przedsięwzięcia o perspektywie kilkunasto- lub kilkudziesięcioletniej. Z jednej strony zwiększają one wartość i konkurencyjność

*Tradycyjny, spolaryzowany
model podziału świata
na biegun polityczny
i gospodarczy, na demokrację
i rynek, nie odpowiada
rzeczywistości. Przedsiębiorstwa
są i będą coraz bardziej
aktywne w polityce, natomiast
państwa i społeczeństwa grają
i będą grały bardzo ważną rolę
na rynkach.*

przedsiębiorstw, z drugiej zaś sprawiają, że są one bardziej zakorzenione w strukturze społecznej i systemie politycznym. Co więcej, pomagają też podnosić jakość życia i w jakimś sensie rozwiązywać problemy natury socjalnej. Istotne jest, że firmy mają nie tylko środki, ale też pomysły potrzebne do realizacji takich przedsięwzięć. Tradycyjny, spolaryzowany model podziału świata na biegun polityczny i gospodarczy, na demokrację i rynek, nie odpowiada rzeczywistości. Przedsiębiorstwa są i będą coraz bardziej aktywne w polityce, natomiast państwa i społeczeństwa grają i będą grały bardzo ważną rolę na rynkach. Im wcześniej obie strony pogodzą się z takim obrazem świata, tym lepiej dla wszystkich.

O ROZMÓWCY:

Prof. Paul H. Dembinski jest absolwentem Uniwersytetu Genewskiego, gdzie w 1982 roku uzyskał tytuł doktora ekonomii. Jest współzałożycielem i dyrektorem Obserwatorium Finansowego w Genewie. Autor książki pt. „Finanse po zawale. Od euforii finansowej do gospodarczego ładu” opublikowanej w 2011 r.



*dr hab.
Bogdan Góralczyk,
prof. UW*

*Centrum Europejskie
Uniwersytetu Warszawskiego*

WOLNORYNKOWE CHINY I ETATYSTYCZNE WĘGRY – ZMIANA MODELU

Autor istotnego dzieła na temat wzrostu i upadku systemu komunistycznego, Archie Brown, zdefiniował kilka podstawowych cech tego ustroju. Zaliczył do nich m.in.: monopol partii komunistycznej, „demokratyczny centralizm” (utożsamiany z wodzem), państwową własność środków produkcji i gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Z kolei najlepszy badacz z naszego regionu, węgierski ekonomista János Kornai – do głównych cech klasycznego ustroju komunistycznego zaliczył: ideologię marksistowsko-leninowską (negującą rynek), centralną rolę państwa – także w gospodarce i systemie własności, biurokratyczną – a nie rynkową – koordynację procesu produkcji oraz miękkie, a więc planowe

i biurokratyczne, zależne od woli człowieka a nie sił rynkowych, sterowanie budżetem oraz „gospodarkę niedoboru”. System ten był spójny tylko w całości. Gdy zabrakło któregoś z jego ogniw, nie był on już komunistyczny (Kornai w takim przypadku pisał o porządku „socjalistycznym”), a stawał się czymś innym, ustrojową hybrydą lub wprost zaprzeczeniem „realnego socjalizmu”.

Od negacji rynku po jego apoteozę

Patrząc z tej perspektywy, Chiny, formalnie pod wodzą Komunistycznej Partii Chin (KPCh) już w latach 80. ubiegłego stulecia, stawały się hybrydą: wprowadzały rozwiązania rynkowe, a gospodarkę niedoboru szybko zamieniły w rynek producenta (choć długo jeszcze nie konsumenta). A potem – gospodarczo – komunizm w każdym wymienionym wyżej wymiarze zanegowały...

Prawdziwy, systemowy przełom nastąpił tam jednak dopiero w 1992 r. z woli stratega i wizjonera obecnych zmian Deng Xiaopinga. Widząc rozpad ZSRR, nakazał on Chinom nie tyle reformy wewnętrzne, jakie przeprowadzano dotąd, ile włączenie się w światowy krwiociąg gospodarczy, a ten był już wtedy całkowicie kapitalistyczny (z wyjątkiem Korei Północnej czy Kuby, bo Wietnam w wymiarze gospodarczym poszedł chińską drogą). Od tego momentu modelem dla Chin stał się państwowy kapitalizm, organizowany na wzór singapurski, gdzie dominował rynek, ale pozostało państwowe planowanie oraz interwencjonizm na drodze do osiągnięcia strategicznych celów.

Chiny, otwierając się na świat, nie mogły przyjąć neoliberalnego pakietu, jaki oferował im Zachód. Po pierwsze ze względu na obawę przed dominacją USA, a po drugie dlatego, że był on totalnym zaprzeczeniem klasycznego socjalizmu i skrajną formą kapitalizmu, stawiającego na dominację wszechmocnej „niewidzialnej ręki rynku” i słaby aparat państwowy.

Gdy po 1992 r. Chiny otworzyły się na świat i świadomie włączyły się w procesy globalizacyjne, stanęły przed dylematem wyboru modelu rozwojowego. Po części z obawy przed amerykańską dominacją, a po części z racji własnego cywilizacyjnego dziedzictwa nie przyjęły forsowanego wówczas przez Waszyngton i główne instytucje systemu Bretton Woods (Bank Światowy i MFW), pakietu neoliberalnego, ochrzczonego mianem „konsensusu waszyngtońskiego”. Nawet mimo tego, że podejmowali u siebie guru tego nurtu, Milтона Friedmana.

Rozpoznany już dziś dobrze „konsensus waszyngtoński” był nie tylko totalnym zaprzeczeniem klasycznego socjalizmu opisanego przez J. Kornaia czy A. Browna, ale też specyficzną, w istocie skrajną formą kapitalizmu, stawiającego na dominację „niewidzialnej ręki rynku” w roli koordynatora systemu oraz liberalizację handlu, obrotów kapitałowych czy

przepływów finansowych i prywatyzację. Zgodnie z jego wymogami, państwo miało być słabe, a rynek – wszechmocny.

Tajemnica chińskich sukcesów

Władze w Pekinie uważnie przestudiowały doświadczenia wschodnioazjatyckich gospodarczych tygrysów, poczynając od Japonii i Korei Południowej, po Hongkong, Tajwan czy Singapur (te trzy ostatnie w istocie chińskie, co nie było bez znaczenia). Wnioski były jasne – trzeba stosować inne rozwiązania, niż te proponowane przez Waszyngton. Dość szybko

okazało się, że Chińczycy mają nie tylko odmienne od zachodnich wzorce, ale też nieco inaczej rozłożone priorytety. Zaczęły więc budować własny model, a w centrum jego zainteresowania postawiły wzrost gospodarczy – bez względu na koszty (społeczne, w środowisku naturalnym i inne). Mechanizmami napędowymi realizacji tego nadrzędnego celu stały się eksport i ogromne zasoby taniej siły roboczej, eksploatowanej w sposób iście dickensowski. Sięgano więc po własne, ogromne rezerwy, ale z równą chęcią stawiano na zagraniczne inwestycje, otwierając wewnętrzny rynek jeszcze bardziej niż Japonia.

Ten model zadziałał! Chiny, najludniejsze państwo świata, przez ponad trzy dekady legitymowały się wzrostem rocznym rzędu 9,8 proc., co było wydarzeniem bez precedensu w dziejach ludzkości. Państwo, które w XXI wiek wkroczyło jako szоста gospodarka świata, w 2010 r. wyprzedziło Japonię i stało się drugą globalną potęgą (trzecią, jeśli liczyć UE jako

całość), a po drodze, w 2009 r., wyprzedziło Niemcy jako największego eksportera na świecie. Od 2013 r. Chiny to także kraj o największej wymianie handlowej. Do tego szybko, wręcz w błyskawicznym tempie, kumulowały one największe na globie rezerwy walutowe, obecnie szacowane na 3,8 biliona dolarów (to równowartość ponad 6-krotnego rocznego PKB Polski!).

Na te procesy nałożył się upadek Lehman Brothers, potem General Motors i innych kolosów amerykańskiej gospodarki (później, jak w przypadku GM,

częściowo wykupowanych przez państwo). Rozpoczął się kryzys na światowych rynkach, przez wielu – w tym np. noblistów z ekonomii Josepha Stiglitz czy Paula Krugmana – utożsamiany z niczym innym jak upadkiem „konsensusu waszyngtońskiego”. Zmiana ta została wnikliwie opisana m.in. przez Naomi Klein w *Doktrynie szoku* czy ostatnio przez koreańskiego ekonomistę z University of Cambridge Ha-Joon Changa (*23 rzeczy, których nie mówią ci o kapitalizmie*).

Zachód i proponowany przezeń model rozwojowy popadł w tarapaty, podczas gdy Chiny święciły bezprecedensowe sukcesy. Nic dziwnego, że powstał prawdziwy ferment ideowy i pojęciowy, prowadzący do zaskakujących wyników. Weźmy dla przykładu tylko dwa rozwiązania – w samych Chinach oraz ostatnio na Węgrzech, które można uznać za pewien symbol.

Już w 2004 r. wykładający w Chinach Amerykanin Joshua C. Ramo

opisał zarysowany powyżej chiński model rozwojowy, w ramach którego niewidzialna ręka rynku była dość często trzymana na wodzy przez jak najbardziej widzialną ręką państwa (zachowującego monopol nie tylko na program kosmiczny czy zbrojenia, ale też banki, lotnictwo cywilne, przemysł petrochemiczny czy porty morskie). Ramo nazwał ten model „konsensusem z Pekinu”. Jednakże Chińczycy tego pojęcia „nie kupili”. Po pierwsze dlatego, że powstało nie z ich inspiracji, czego bardzo nie lubią, a po drugie (i ważniejsze) ze względu na to,

Zachód i proponowany przezeń model rozwojowy popadł w tarapaty, podczas gdy Chiny święciły bezprecedensowe sukcesy. Jednakże Chińczycy, w przeciwieństwie do świata zachodniego, nie podjęły się misji „krzewienia” swojej drogi. Głównie dlatego, by otwarcie nie przeciwstawiać się Amerykanom, lecz nadal postępować zgodnie z własną zasadą zbierania sił i czekania na dobrą okazję.

by otwarcie nie przeciwstawiać się Amerykanom i Zachodowi, lecz nadal postępować zgodnie ze strategicznymi dyrektywami Deng Xiaopinga, utożsamianymi z głośną zasadą *tao guan yang hui* czyli *zbierania sił i czekania na dobrą okazję*.

Jednak po 2008 r. strategia ta była już nie do utrzymania. Podminowany – gospodarczo i finansowo, a po części także ideowo – Zachód zaczął domagać się, by Chiny, teraz już globalne mocarstwo, brały na swoje barki ciężar światowych problemów i stały się, cytując głośną swego czasu formułę byłego szefa BŚ Roberta Zoellicka, „odpowiedzialnym współudziałowcem”.

Chiny zmieniają ilość w jakość

Tym samym rok 2008, co sobie nie do końca uświadamiamy, stał się ważną cezurą nie tylko dla Zachodu, ale także szybko idących do przodu Chin. Z jednej strony zawiro-

wania na scenie światowej i oczekiwania świata zachodniego względem Państwa Środka, a z drugiej sytuacja na jego scenie wewnętrznej wywołały – trwającą do dziś i daleką od zakończenia – debatę nie tyle nt. konsensusu z Pekinu, ile „chińskiego modelu rozwojowego” (*Zhongguo moshi*).

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Zachód popadł w tarapaty, w kłopotliwy czas wkroczyły także Chiny. Stało się tak po pierwsze dlatego, że dotychczasowy – tak skuteczny – model rozwojowy najwyraźniej się wyczerpał, a po drugie przyniósł on ze sobą ogromne koszty i skutki uboczne, jak zniszczone środowisko naturalne, korupcję, niebotyczne uwłaszczenie nomenklatury spod

znaku KPCh oraz gwałtowne i stale narastające rozwarstwienie (współczynnik Giniego wyższy niż w USA!). Tanie Chiny się skończyły, podobnie jak wyczerpują się proste rezerwy ich wzrostu: surowce i siła robocza na wsi.

Z debaty nad nowym modelem rozwojowym wyłoniły się już zarysy nowego ładu. Teraz Chiny chcą opierać rozwój już nie na eksporcie, lecz wewnętrznej konsumpcji. Priorytetem jest już nie tyle szybki wzrost, lecz – postulowany przez agendy ONZ – „zrównoważony rozwój”. Przy tej okazji ma być odbudowana sieć świadczeń socjalnych, poprzednio dokumentnie rozsypana (przede wszystkim publiczne szkolnictwo i opieka zdrowotna, ale także emerytury).

Wreszcie, Chiny chcą także budować „zieloną” i innowacyjną gospodarkę. Innymi słowy – ilość zamierzają wreszcie zamieniać w jakość. Założenia te władze KPCh potwierdziły w listopadzie 2012 r. w swych postulatach programowych i zaczynają wcielać je w życie.

Dziś Chiny stawiają na zrównoważony rozwój, „zieloną energetykę”, budowę rynku wewnętrznego i odbudowę świadczeń socjalnych. Innymi słowy – zamieniają ilość w jakość. Problem w tym, że na każdym kroku nowej drogi widać bariery, głównie mentalne.

Problem w tym, że na każdym kroku widać bariery, głównie mentalne. Przede wszystkim odezwała się stara, znana zasada *shang you zhengce, xia you duice*, czyli – *założenia płynące z góry napotykają na oddolne kontradziania*. Innymi słowy, centrum może zakładać sobie co chce, a władze lokalne i tak robią swoje...

Dlatego zasadne jest pytanie: czy teraz też się uda? Trudno powiedzieć, bo to kolejna już w ostatnich dekadach operacja na chińskim umyśle i mentalności, w której panuje chaos (zob. np. cenną książkę Yu Hua *Chiny w dziesięciu słowach*). Nierynkową gospodarkę niedoboru „epoki Mao” (1949–1976) zastąpił rynek, tylko częściowo sterowany przez

*Patrząc na Państwo Środka
i zachwycając się ich szybkim
rozwojem oraz skutecznością
prowadzonej polityki, węgierski
premier przeoczył zdaje się
tylko jedno – że Chiny właśnie
zmieniają azymuty swojego
modelu rozwojowego! Oni dają
więcej rynku, on tymczasem
chce więcej państwa!*

państwo, a po 1992 r. dodatkowo poddany siłom globalizacji. Teraz, po wyczerpaniu prostych rezerw, znając losy „konsensusu z Waszyngtonu”, Chiny stawiają – po raz pierwszy od wszczęcia reform w grudniu 1978 r. – na obywatela i na jeszcze większą rolę koordynującą rynku. Państwo i władza, dotychczas niekontrolowane, częściowo wynaturzone oraz niebotycznie skorumpowane, mają poddać się nadzorowi, co również jest sytuacją bez precedensu w historii Chińskiej Republiki Ludowej.

Orbán idzie w drugą stronę

Oczywiście, przełomowy 2008 r. wzmógł ogromnie zainteresowanie Chinami poza ich granicami, nawet u nas w Polsce, gdzie od czasu wydarzeń na Placu Tiananmen (4 czerwca 1989 r.) patrzono na nie chłodno i bez empatii. W wielu państwach świata było jednak inaczej. Zaczęto (nawet na uniwersytetach, nie mówiąc o rządowych gabinetach) zastanawiać się, czy przypadkiem model chiński, tak skuteczny, gdy ogląda się go z zewnątrz, nie jest aby doskonałą alternatywą dla skompromitowanego – zdaniem wielu – neoliberalizmu. Zabrzmiała więc nowa melodia starej śpiewki na temat zawodności i rynku, i państwa.

Ponieważ rynek, mający być antidotum na „komunizm”, nie zdał egzaminu jako siła koordynująca,

pojawiły się znowu pomysły, by wrócić do dominującej roli państwa, etatyzmu i odgórnego sterowania. Najjaskrawszy przykład w naszym regionie to Węgry po 2010 r. pod wodzą (to dobry termin) Viktora Orbána. Węgierski premier uznał, czemu dawał wyraz publicznie, że instytucje europejskie nie są w stanie wyprowadzić ani Węgier, ani całej UE z obecnego kryzysu. Ponadto twierdził, niczym niegdyś Mao Zedong, że wiatr rozwoju i postępu płynie teraz ze Wschodu, a nie Zachodu.

Dlatego postawił na nowych partnerów. Najpierw Azerbejdżan, potem Kazachstan, a ostatnio Rosję, rządzoną podobnie silną ręką przez Władimira Putina. W tym gronie znalazły się też Chiny, do których dobijał się przez ostatnie cztery lata, zanim wreszcie w lutym br. dostąpił oficjalnej wizyty z Pekinu (co tym samym jest jego namaszczeniem przez chińską stolicę na kolejną kadencję).

Patrząc na Państwo Środka i zachwycając się ich szybkim rozwojem oraz skutecznością prowadzonej polityki, węgierski premier przeoczył zdaje się tylko jedno – że Chiny właśnie zmieniają azymuty swojego modelu rozwojowego! Oni dają więcej rynku, on tymczasem chce więcej państwa!

Nie jest również pewne, czy Viktor Orbán kiedykolwiek przeczytał dokładnie wypowiedzi „ojca” państwa Singapur Lee Kuan-yew¹. Ten bowiem

*Zarówno nadmiar państwa,
jak i zbyt wiele rynkowego
poluzowania nie zdają
egzaminu. Każda ortodoksja
prowadzi na manowce.
Czyżbyśmy byli skazani
na systemowe hybrydy?
Gdyby patrzeć na udany
eksperyment Singapuru,
odpowiedź brzmi: tak!*

opowiada się za rynkiem, a przy tym za: zdecydowanym kierownictwem, skuteczną administracją i wreszcie – dyscypliną społeczną. To, jego zdaniem, są podstawowe warunki skutecznego rozwoju. Pierwszy z nich Orbán spełnia. Drugi jest wątpliwy, bo administracja na Węgrzech jest z partyjnego nadania, niczym ta spod znaku KPCh, a to prosta droga do korupcji a nie kompetencji. Natomiast zamiast trzeciego jest na Węgrzech apatia i głęboki podział na tych co z Orbánem i tych, którzy przeciwko niemu. Jak w takich okolicznościach skutecznie modernizować kraj?

Nadmiar państwa już był – i nie jest wskazany. Wiedzą o tym nawet współcześni mandaryni z Pekinu, sprawujący monopol na władzę i własność.

Orbán idzie złą drogą. Podporządkował wszystko, nawet bank centralny, władzy wykonawczej (czyli sobie). A wynegocjowana w tajemnicy, poza parlamentem i społeczeństwem, umowa z Rosją w sprawie rozbudowy elektrowni atomowej w Paks zapachniała wręcz „realnym socjalizmem” i gospodarką nakazowo-rozdzielczą.

Nadmiar rynku także już był – i również nie jest wskazany, jak pokazał rok 2008 i następne lata kryzysu. Każda ortodoksja prowadzi na manowce. Czyżbyśmy byli skazani na systemowe hybrydy? Gdyby patrzeć na udany eksperyment Singapuru, to rynek – i rządy prawa! – powinny być nadrzędne, a państwo powinno sobie tylko zachować rolę interwenta. Pekin już o tym wie. A co na to Budapeszt?

O AUTORZE:

Dr hab. Bogdan Góralczyk jest politologiem i sinologiem, profesorem w Centrum Europejskim UW, byłym ambasadorem w krajach azjatyckich. O Chinach traktują jego tomy: *Chiński Feniks. Paradoxy rosnącego mocarstwa* (2010) oraz *Przebudzenie smoka. Powrót Chin na scenę globalną* (2012).

KONIEC WOLNOAMERYKANKI?

Stałe poszukiwanie optymalnych proporcji między rynkiem i państwem wiąże się bez wątpienia z faktem ciągłej (i niekoniecznie jednokierunkowej) ewolucji systemu kapitalistycznego. Niezależnie od kursu tych zmian, podstawowe jego zasady – w tym przewaga własności prywatnej i wolny rynek – pozostają niezmiennie. Modyfikacjom ulegają natomiast funkcje i zaangażowanie państwa.



dr Rafał Jarosz

*Pierwszy Sekretarz
Wydziału Ekonomicznego
Ambasady Rzeczypospolitej
Polskiej w Waszyngtonie*

W ostatnich kilkudziesięciu latach największe na świecie sukcesy odnosiła wolnorynkowa gospodarka Stanów Zjednoczonych. Cechował ją niezwykle wysoki poziom indywidualizmu oraz ograniczona do minimum rola państwa. Obecny kryzys, nowe globalne wyzwania, jak również problemy społeczne w USA przyniosły doświadczenia, które zmuszają do weryfikacji dotychczasowych poglądów, również w obszarze ingerencji państwa w życie społeczno-gospodarcze Amerykanów. Czy Stany Zjednoczone będą bronić modelu, który gwarantował dotąd sukces gospodarczy i dobrobyt społeczny, czy też skazane są na poszukiwanie nowych rozwiązań?

Zmiana paradygmatu

Wolność jednostki i realizowanie etosu *American Dream*, które w dużym stopniu ukonstytuowały amerykańską gospodarkę i społeczeństwo pozostają niezmiennie. Nic raczej nie wskazuje, by za naszych czasów nastąpiły w tym obszarze jakiegokolwiek rewolucyjne zmiany. Powszechnie

przekonanie o możliwości społecznego awansu jest wpisane w amerykańską kulturę i realia. Potwierdza to choćby głośna historia ukraińskiego imigranta – Jana Kouma. W latach 90. rozpoczął on życie w USA na poziomie ubóstwa socjalnego, a w tym roku sprzedał swoją firmę Facebookowi za 19 miliardów dolarów w bardzo symbolicznym miejscu – ośrodku pomocy społecznej.

Szttywne zasady rynkowe stale determinują dobrobyt, wpływają na decyzje i cele gospodarcze amerykańskich obywateli, jak również decydują o kierunkach wewnętrznej polityki gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Jednakże chęć zachowania pozycji światowego lidera

zmusza Amerykanów do poszukiwania nowych rozwiązań, także w obszarze działalności i zaangażowania rządu federalnego. Wiąże się to m.in. z koniecznością pogodzenia interesów środowiska biznesowego z realizacją nowych celów zrównoważonego rozwoju (ang. *sustainable development*). Obecnie, przed tradycyjne sfery związane z tą ideą, jak np.: odpady, transport, gospodarkę materiałową, zasoby wody, żywność, bioróżnorodność czy dziedzictwo kulturowe, na pierwsze miejsce wysunęła się ochrona klimatu i gospodarka niskoemisyjna. Zobowiązania w zakresie ograniczenia emisji gazów cieplarnianych i ochrony środowiska naturalnego tworzą nowy obszar dla globalnej konkurencji we wszystkich sektorach gospodarki. Politykę taką można kształtować jedynie w oparciu o skuteczną i bliską współpracę między rządem a światem biznesu, związkami zawodowymi, środowiskami akademickimi czy organizacjami pozarządowymi

Dotychczasowy model niesie za sobą wiele poważnych zagrożeń. Jego dalsze utrzymanie okazuje się być zadaniem niezmiernie trudnym do wykonania, a w przyszłości być może nawet niemożliwym. Nowy paradygmat wymaga jednak szerokiej koordynacji – to jest zadanie dla rządów.

reprezentującymi interesy społeczeństwa. Wejście na drogę zrównoważonego rozwoju wynika ze słusznego rozpoznania, że dotychczasowy model ładu społeczno-gospodarczego – wszakże z sukcesami na koncie – niesie za sobą wiele poważnych zagrożeń, w niezbyt już odległej perspektywie. Dalsze wdrażanie mechanizmów nowego paradygmatu, przy zachowaniu podstawowych zasad liberalnej gospodarki i ograniczonej roli państwa, okazuje się być zadaniem niezmiernie trudnym do wykonania, a w przyszłości być może nawet niemożliwym. Konieczne będzie bowiem prowadzenie konsultacji dotyczących ustanawiania krajowych polityk, wyznaczenie priorytetów oraz

wspieranie i koordynowanie działań firm na szczeblu międzynarodowym, regionalnym i krajowym. To właśnie będą zadania rządów. Szczególnie istotną rolę władze mogą odegrać, pomagając małym i średnim przedsiębiorstwom w stymulowaniu, finansowaniu i monitorowaniu optymalnych rozwiązań,

zgodnych z koncepcją zrównoważonego rozwoju.

Duża rola małych firm

W kontekście zaangażowania państwa w rozwój gospodarczy kraju szczególna „misja” związana jest z sektorem małych i średnich przedsiębiorstw. Pod koniec lat 80. amerykański rząd uruchomił i utrzymał szereg programów badawczo-rozwojowych skierowanych wyłącznie do małych firm. Z uwagi na ich naturę, w tym: wysoki poziom elastyczności, ograniczoną biurokrację oraz dużą skłonność do eksploracji nowych pomysłów, dzisiaj to one są źródłem wzrostu amerykańskiej gospodarki oraz

nowych miejsc pracy. Świadczy o tym chociażby fakt, że prawie połowa amerykańskich naukowców i inżynierów zatrudniona jest w małych przedsiębiorstwach. Strategia wielu małych firm, szczególnie z sektora B+R, koncentruje się na opracowaniu produktu lub usługi, która następnie zostanie sprzedana w formie licencji i/lub patentów dużym firmom. Drugą opcją jest sprzedaż firmy innej korporacji posiadającej bardziej rozwiniętą infrastrukturę do ekspansji rynkowej danego produktu¹. Doskonałym przykładem takiej współpracy były rządowe granty skierowane do małych firm energetycznych w celu udoskonalenia technologii szczelinowania hydraulicznego (dziś tak powszechnie stosowanej przy wydobywaniu gazu łupkowego). Po latach George Mitchell – twórca tej metody – przyznał, że bez środków i wsparcia rządowego opracowanie nowej technologii byłoby wręcz niemożliwe. Współpraca z amerykańskim Departamentem Energii i otrzymywane przez małe przedsiębiorstwa granty stanowią dziś klucz do prowadzenia amerykańskich prac badawczo-naukowych w dziedzinie energetyki. Sukces jednej technologii wydobywania gazu ziemnego nie oznaczał bynajmniej końca współpracy na linii administracja-biznes w rozwijaniu kolejnych. Obecnie rząd finansuje prace małych firm pozwalające na ocenę potencjału wydobywania gazu ziemnego z tzw. hydratów metanu².

*Współpraca z Departamentem
Energii i otrzymywane
przez małe przedsiębiorstwa
granty stanowią dziś klucz
do prowadzenia amerykańskich
prac badawczo-naukowych
w dziedzinie energetyki.*

1 Warto dodać, iż pomimo bezpośredniego wsparcia finansowego rządu, agencje federalne nie roszczą sobie żadnych praw do współwłasności wyników.

2 Program rozpoznania zasobów hydratów metanu prowadzony jest w USA od 1982 r., tym niemniej dopiero w 2000 r. amerykański rząd uchwalił ustawę *Methane Hydrate Research and Development Act of 2000*, na podstawie której

Władza społeczeństwa

Budowanie relacji państwo-rynek staje się dziś strategicznym elementem rozwoju gospodarczego uwzględniającego już nie tylko wyzwania ekonomiczne, ale również środowiskowe i społeczne. Skala i jakość tej współpracy będzie miała znaczenie dla wyznaczania nowych priorytetów gospodarczych kraju i tempa jego rozwoju.

W Stanach Zjednoczonych od początku wykształcał się model, w którym społeczeństwo oraz biznes wyposażone były w narzędzia reprezentujące ich interesy przed rządem federalnym. Świadomość wzajemnego wkładu w rozwój kraju oraz nadrzędna rola społeczeństwa pozwoliły na stworzenie unikalnego modelu współpracy państwo-społeczeństwo-biznes.

Członkowie amerykańskiej Izby Reprezentantów, wybierani w wyborach bezpośrednich, jednomandatowych, mają dwuletnie kadencje, więc szczególnie muszą dbać o swoich wyborców. Przy tak skonstruowanej ordy-

nacji, członek parlamentu musi liczyć się z nimi przez cały czas sprawowania mandatu, gdyż ponowny jego wybór zależy wyłącznie od oceny i woli obywateli. Jest to skuteczny sposób na zbudowanie społeczeństwa obywatelskiego, zaangażowanego w życie polityczne kraju, szczególnie na poziomie lokalnym. A zatem, każdy członek amerykańskiego Kongresu zabiega o realizację interesów grupy społecznej, którą reprezentuje, lobbuje za transferem

Biuro Paliw Kopalnych Departamentu Energii prowadzi narodowy program związany z dalszym rozpoznaniem pokładów hydratów metanu, jak również z rozwojem technologii eksploatacyjnych. Ustawa zagwarantowała w budżecie USA na lata 2001–2005 środki 9,5 mln USD rocznie (poprawka z 2005 r. zapewniła finansowanie na lata 2005–2010 na poziomie 155 mln USD).

kapitału do danego regionu, stara się o inwestycje, walczy o jego dobry wizerunek. Z drugiej strony, zarówno społeczeństwo jak i środowisko biznesowe wyposażone są w sieć różnego rodzaju organizacji utrzymujących bezpośrednie kontakty i prowadzących konsultacje z członkami rządu federalnego USA – stowarzyszeń, izb, think-thanków, grup nacisku, ruchów społecznych. Lobbying środowiska biznesowego, a co za tym idzie – przepływ środków finansowych zasila wyłącznie organizacje wspierające działalność danego polityka, nigdy jego prywatne konta. Znakomitym przykładem ilustrującym współczesne mechanizmy amerykańskiej demokracji na poziomie państwo-rynek jest telewizyjny serial „House of Cards”. Pomijając kwestie moralnych dylematów i ambicji głównego bohatera, scenariusz filmu doskonale ukazuje bezgraniczną władzę amerykańskiego społeczeństwa, a przede wszystkim amerykańskiego biznesu w decyzjach i działaniach amerykańskich polityków.

Elementem, który znacząco usprawnia współpracę i kontakt na poziomie rząd-rynek jest imponujący przepływ kadr pomiędzy oboma środowiskami. W amerykańskich realiach kariera rządowa promuje ludzi posiadających znaczące doświadczenie zawodowe w sektorze prywatnym. Z drugiej strony, wysocy rangą oficjele rządowi, ustępujący ze stanowiska, stają się liderami organizacji reprezentujących interesy społeczeństwa czy biznesu. Większość Amerykanów postrzega lobbying jako działalność pozytywną, wynikającą z gwarancji zawartych w pierwszej poprawce do Konstytucji³ – dostarczania rządowi informacji oraz uzyskiwania ich od rządu, przyczyniając się w ten sposób do przepływu wiedzy i wzajemnego zrozumienia. Lobbying ma zatem charakter reprezentujący,

3 Pierwsza poprawka do Konstytucji stanowi, że „Kongres nie może stanowić ustaw [...] naruszających prawo [...] do wnoszenia do najwyższych władz petycji o naprawienie krzywd”.

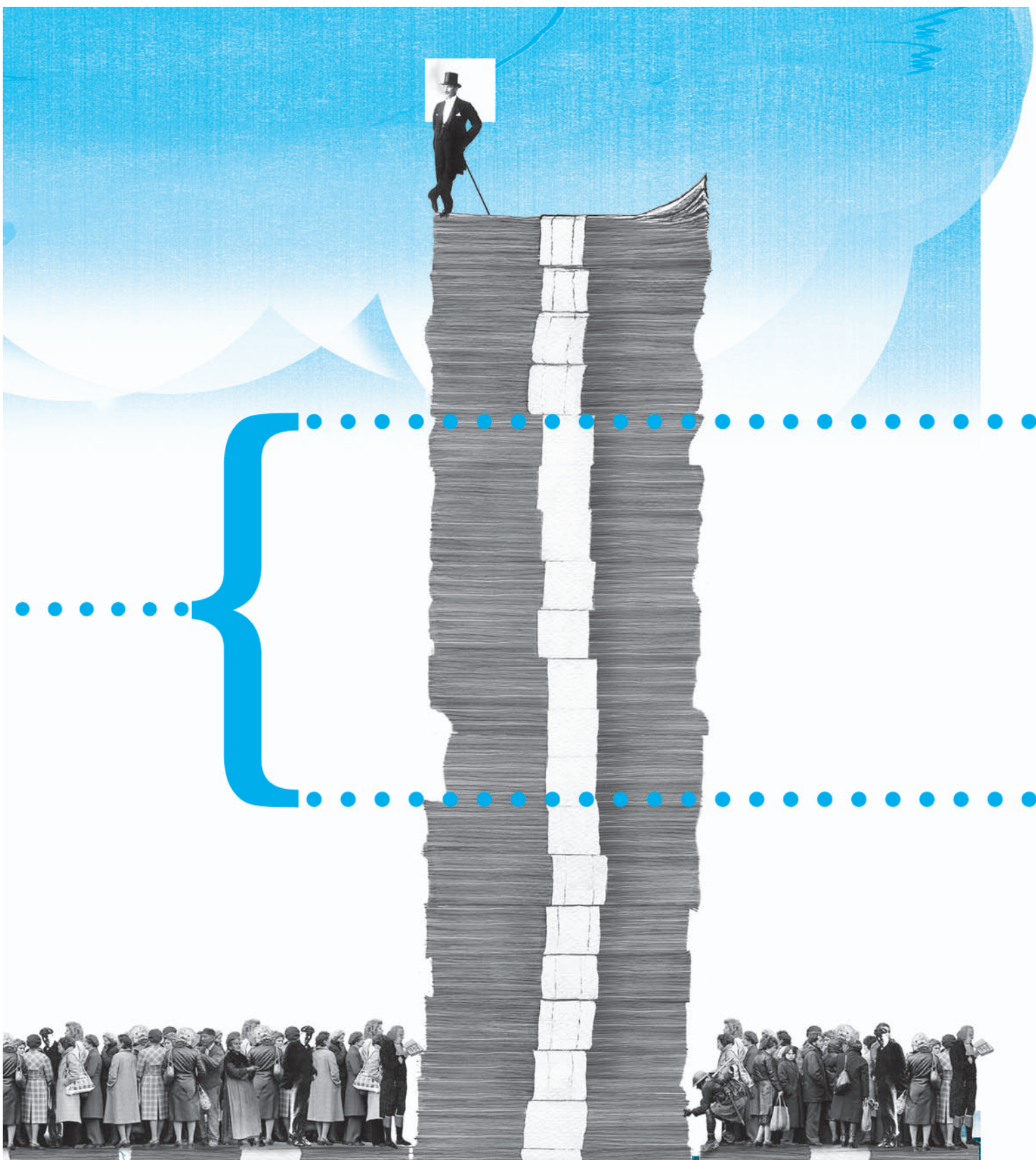
który uzupełnia proces wyborczy, stwarza możliwości i zachęca społeczeństwo do angażowania się w rozwiązywanie problemów społecznych i gospodarczych. Można wnioskować, że bliskie relacje o charakterze personalno-organizacyjnym pomiędzy rządem i biznesem pozwalają Amerykanom szybciej reagować na globalne zmiany, w tym odzyskiwać utraconą konkurencyjność.

Bussines not as usual

To wszystko dzieje się też przy większym pozaekonomicznym zaangażowaniu amerykańskich korporacji. Na zmianę paradygmatu rozwojowego w kierunku ochrony zarówno interesów ekonomicznych jak i społecznych oraz środowiskowych najszybciej odpowiadały globalne koncerny. Coraz powszechniejsze stawało się przekonanie, że powodzenie tych celów nie będzie możliwe bez większego wkładu sektora prywatnego. W rezultacie, w Stanach Zjednoczonych nastąpił dynamiczny rozwój koncepcji „odpowiedzialnego biznesu” (ang. *corporate social responsibility*). Stało się to m.

in. dlatego, że istotą systemu zabezpieczenia społecznego w Stanach Zjednoczonych jest ograniczenie roli państwa do zapewnienia ochrony socjalnej tylko ludziom starym, niepełnosprawnym czy rodzinom bez dochodów. W związku z tym silna rola społeczna przypadła





Bliskie relacje o charakterze personalno-organizacyjnym pomiędzy rządem i biznesem pozwalają Amerykanom szybciej reagować na globalne zmiany, w tym odzyskiwać utraconą konkurencyjność.

instytucjom prywatnym, w tym przedsiębiorstwom. Oprócz kwestii dostępności kapitałowej, był to z pewnością czynnik, który wpłynął na szybsze zmiany i wypracowanie nowego modelu biznesowego. Wyrażnie widać, że Amerykanie oczekują od biznesu znacznie więcej niż tylko efektywności i tworzenia miejsc pracy. Wymagają od niego odpowiedzialności i solidarności oraz zaangażowania w kwestie społeczne i środowiskowe. Tego rodzaju postawy kształtowane są od lat.

USA państwem opiekuńczym?

Równie istotny jest fakt, iż w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych mamy do czynienia z przemianami demograficznymi o przełomowym znaczeniu. Populacja USA wynosi obecnie około 310 mln ludzi, z czego ponad 11 mln stanowią nielegalni imigranci. Biali to niespełna 65% Amerykanów, a prawdziwą „lokomotywą demograficzną” USA są obywatele pochodzący z Ameryki Środkowej i Południowej stanowiący już ponad 16% społeczeństwa. William Frey z *Brookings Institute* podkreśla, że „liczba zamieszkujących Stany Zjednoczone Latynosów wzrasta bardziej w wyniku wysokiego przyrostu naturalnego niż migracji”⁴. Większość ekspertów nie ma wątpliwości co do szeregu korzystnych skutków owych zmian dla amerykańskiej gospodarki, przede wszystkim tych długookresowych: nowi obywatele zwiększają popyt, przyczyniają się

do rozwoju przemysłu i rolnictwa, modernizacji sieci dróg oraz całej infrastruktury budowlanej. Trudno obecnie przewidzieć wszystkie następstwa polityczne czy społeczne, ale z pewnością będą one poważne. Jak dotąd, większość imigrantów głosuje na Partię Demokratyczną. Ponad 2/3 Latynosów poparło w ostatnich wyborach prezydenckich ciemnoskórego Baracka Obamę. Ostatni sukces Republikanów to zwycięstwo w wyborach do Kongresu w listopadzie 2010 r. Wydaje się zatem, że w dłuższej perspektywie obie partie zmuszone będą do przeorientowania swoich wartości politycznych i poszukiwania rozwiązań, które odzwierciedlać będą również interesy „nowej” grupy obywateli o bardzo odmiennym od tradycyjnego „tle” kulturowym i światopoglądowym. Oznacza to pchnięcie Stanów Zjednoczonych na ścieżkę dotąd im nieznaną...

Jednym z najbardziej istotnych elementów polityki rządowej będzie określenie swej funkcji w sferze socjalnej. Latynosi, przyzwyczajeni do innej rzeczywistości społeczno-polityczno-gospodarczej, domagać się będą – szczególnie na tym etapie – dodatkowego wsparcia socjalnego. Pytanie zatem, jaki będzie miało ono charakter – czy będzie to pomoc „aktywna” (np. szkolenia dla bezrobotnych, ale też i inne świadczenia, których otrzymanie wiąże się z bodźcem do działania), czy też przyjmie formę „pasywną” (np. zasiłki), która nierzadko leży u źródeł postaw roszczeniowych, tj. braku motywacji do pracy i edukacji. Doświadczenia innych państw pokazują, że w tym drugim przypadku część społeczeństwa

Budowanie relacji państwo-rynek staje się dziś strategicznym elementem rozwoju, uwzględniającego już nie tylko wyzwania ekonomiczne, ale również środowiskowe i społeczne.

4 <http://www.npr.org/2011/06/27/137448906/us-will-have-minority-whites-sooner-says-demographer>.

Amerykanie oczekują od biznesu znacznie więcej niż tylko efektywności i tworzenia miejsc pracy. Wymagają odpowiedzialności i solidarności oraz zaangażowania w kwestie społeczne i środowiskowe.

„uzależnia” się od otrzymywanej pomocy, a wydatki państwa nie sprzyjają wzrostowi kapitału ludzkiego. Trudno jest na razie wyobrazić sobie sytuację, w której Stany Zjednoczone stają się klasycznym przykładem kraju opiekuńczego.

Tak więc pod wielkim znakiem zapytania stoi zakres przyszłych działań socjalnych amerykańskiego rządu. Zmiany demograficzne, w tym dynamicznie rosnący udział wciąż słabo wykształconych Latynosów, pozostających dziś biedną częścią amerykańskiej klasy średniej, stawia rząd federalny i rządy stanowe w trudnej sytuacji geopolitycznej. Jeśli pogłębiać się będzie sytuacja, w której połowa amerykańskich obywateli traci grunt pod nogami, a druga połowa dynamicznie się rozwija, struktura społeczna, a co za tym idzie potęga gospodarcza Stanów Zjednoczonych, może być poważnie zagrożona. Ameryka stoi zatem przed historycznym dylematem: czy pozostawić – jak dotychczas – wszystko wolnemu rynkowi, który zapewniał jak dotąd wyższą efektywność i wyższy wzrost gospodarczy, ale nie będzie miał wpływu na równomierny rozkład bogactwa w społeczeństwie? Czy też podejmować ryzykowną próbę sztucznego transferu bogactwa

od najlepiej uposażonych w kierunku biedniejszej klasy średniej?

Do tej pory amerykański model rozwojowy opierał się na tezie, iż zaangażowanie państwa nie powinno wychodzić poza ramy incydentalnej pomocy, stymulującej start. Jednak nieznane są konsekwencje polityczne związane z dalszą degradacją klasy średniej w Stanach Zjednoczonych, która jak do tej pory zdolna była do nabywania towarów i usług wytwarzanych przez amerykański biznes. Co więcej, europejskie podejście jednoznacznie wskazuje, iż państwo nie powinno być obojętne wobec efektów skrajnej redystrybucji majątku, co miało już miejsce w naszej historii...

Ameryka stoi przed historycznym dylematem: czy pozostawić, jak dotąd, wszystko wolnemu rynkowi, który zapewniał wyższy wzrost gospodarczy, ale nie będzie miał wpływu na równomierny rozkład bogactwa w społeczeństwie? Czy też podejmować próbę transferu bogactwa od najlepiej uposażonych w kierunku biedniejszej klasy średniej?

O AUTORZE:

Dr Rafał Jarosz jest absolwentem ekonomii w Szkole Głównej Handlowej i adiunktem Uczelni Łazarzskiego. Obecnie pracuje w Wydziale Ekonomicznym Ambasady RP w Waszyngtonie.



Piotr Frączak

*prezes Ogólnopolskiej
Federacji Organizacji
Pozarządowych*

A GDZIE SPOŁECZEŃSTWO?

W dyskursie publicznym dominuje przekonanie, że istnieją dwie drogi rozwoju – albo więcej państwa, albo więcej rynku. Coś za coś. Chcemy co rusz – a to prywatyzować, a to upaństwowiać przedsiębiorstwa (banki, koleje, kopalnie, szpitale). To, co społeczne, nie poddające się regułom rynkowym czy nadzorowi administracji, jawi nam się jako nieistotny trybik pomiędzy dwoma kołami młyńskimi. Rodzina, przyjaciele, współpracujący z nami ludzie o zbieżnych z naszymi zainteresowaniach lub wartościach są tylko marginesem tego, co tak naprawdę ważne: pieniędzy i władzy. A co, jeśli w tej dyskusji obie strony się mylą? A co, jeśli okazać by się miało, że społeczeństwo obywatelskie nie znajduje się pomiędzy rynkiem a państwem, ale jest gdzieś poza? Co, jeśli odkryjemy, że można niwelować braki wynikające z oczywistej zawodności rynku nie administracyjnym nakazem, lecz społecznym zaangażowaniem,

*Dominuje przekonanie,
że istnieją dwie drogi rozwoju
– albo więcej państwa, albo
więcej rynku. To, co społeczne,
nie poddające się regułom
rynkowym czy nadzorowi
administracji, jawi nam się
jako nieistotny trybik pomiędzy
dwoma kołami młyńskimi.*

a wady administracyjnego zarządzania – nie urynkawianiem wszystkiego, a spontaniczną aktywnością? Niektórzy powiedzą, że to herezja, lecz moim zdaniem niewiele dowodzi, aby to dychotomiczne podejście, będące w istocie ideową pozostałością po zimnej wojnie, opierało się na twardych, racjonalnych podstawach.

Ziemia niczyja?

To, że w niektórych wypadkach system rynkowy i państwowa interwencja zawodzą jest dziś w zasadzie oczywistością. Problem w tym, że wychodząc od dualistycznej wizji próbuje się zrzucić te niedoskonałości na wynik działania strony przeciwnej. Zawodność rynku to w istocie wynik wcześniejszej interwencji państwa, zaś wady systemu zarządzania administracyjnego są skutkiem zbyt dużej roli mechanizmów rynkowych. I znów pojawiają się wątpliwości. A jeżeli nie? Jeśli w samą istotę tych form zarządzania jest wpisana immanentna skaza? Jeśli po prostu takie są? Przecież łatwo możemy znaleźć argumenty, że w wielu przypadkach problemów nie potrafi rozwiązać ani rynek, ani administracja. Chociażby w sferze dostarczania usług publicznych państwo stara się dostarczyć usługi na poziomie satysfakcjonującym przeciętnego wyborcę, a biznes – przeciętnego konsumenta. Oznacza to, że takie rozwiązania nie mogą zaspokajać aspiracji bardzo wielu grup mniejszościowych i ich specyficznych

potrzeb. Dlaczego rynek i państwo zawodzą? W teoriach wskazuje się na wiele powodów, ale dla naszego wywodu trzy z nich są najbardziej istotne.

Po pierwsze – dlatego, że za gros usług ludzie nie są skłonni zapłacić wystarczająco dużo, aby było to opłacalne z punktu widzenia mechanizmów rynkowych, a potrzeby są tak niszowe, że realizacja tych usług przez podmioty publiczne – choć pożądana (np. z uwagi na akceptowalną równość szans) – może być zbyt kosztowna. Oczekiwania co do różnorodnych usług społecznych (dla dzieci, dla osób starszych, dla chorych itp.) rosną, a część z tych niszowych potrzeb pozostaje niezaspokojona.

Po drugie – dlatego, że wiele działań państwowych, dotychczas skutecznie ograniczających niekorzystne efekty funkcjonowania rynku, zawodzi. Dotyczy to szczególnie działalności międzynarodowych korporacji, które mają możliwość „eksportowania” części działalności i niepożądanych kosztów – w tym kosztów pracy czy kosztów środowiskowych – do krajów mniej rozwiniętych. W dłuższej perspektywie ta niekontrolowana działalność poza granicami państwa może się odbić na wszystkich (efekty środowiskowe, niestabilność w regionach biedniejszych itp.).

*W sferze dostarczania usług
publicznych państwo stara się
dostarczyć usługi na poziomie
satysfakcjonującym
przeciętnego wyborcę,
a biznes – przeciętnego
konsumenta. Takie
rozwiązania nie mogą
zaspokajać aspiracji bardzo
wielu grup i ich specyficznych
potrzeb.*

Po trzecie w końcu – istnieje niebezpieczeństwo wspierania przez państwo nieefektywnych działań ekonomicznych. O tym, że „małe jest piękne, ale duże jest dotowane” mówi się od pewnego czasu, ale ostatni problem z ratowaniem zadłużonych banków prywatnych środkami publicznymi wskazuje, że mamy tu do czynienia – już na dużą skalę – z problemem „porażki kontraktu”. Wówczas w sytuacji, gdy za pewne usługi płaci państwo, a nie odbiorca usług, odbywa się to zarówno kosztem jakości, jak i odbiorcy. Może to wzmacniać nieracjonalne z punktu widzenia zysku społeczne zachowania rynkowe.

W tych trzech obszarach oddolne działania obywatelskie mogą nie tylko zaspokajać niszowe potrzeby, ale także kontrolować wpływające pośrednio na życie społeczne procesy.

Spółeczeństwo kontrolujące

Jeżeli uznamy, że zarówno rynek, jak i działania nadzorcze państwa wymagają dodatkowej kontroli, pozostaje pytanie, czy jest ona możliwa. Nie jest to jednak pytanie zadane we właściwy sposób. Ta kontrola już bowiem jest i – co więcej – silnie umocowana. Mamy kontrolę wyborców nad systemem politycznym i kontrolę konsumentów nad działaniami gospodarczymi. Nie trzeba nikogo przekonywać, jaką potencjalną siłę te mechanizmy posiadają. Problem w tym, że zarówno system demokracji przedstawicielskiej, jak i kontrolna rola konsumentów łatwo podlegają manipulacjom. Konieczny jest więc niezależny od państwa i rynku mechanizm, który wykorzystując swoiste działania typu „check and balance”,

korzystając ze współpracy zarówno z biznesem, jak i administracją będzie potrafił zapewnić równowagę.

Kryzys legitymizacji władzy oraz zachwianie zaufania do rynku (szczególnie systemu międzynarodowych korporacji i banków) inicjuje poszukiwanie nowych form uczestnictwa obywatela-świadomego konsumenta w życiu społecznym. Ruchy społeczne z przełomu XIX i XX wieku, bunt młodzieży końca lat 60., jak i dzisiejsze rozruchy oburzonych, jak np. na Majdanie, to nic innego, jak kolejne formy poszukiwań wyjścia poza dychotomię władza-rynek. Jest to próba przejęcia kontroli nad swoim życiem, nad życiem zbiorowym.

Ruchy społeczne z przełomu XIX i XX wieku, bunt młodzieży końca lat 60., jak i dzisiejsze rozruchy oburzonych, jak np. na Majdanie, to nic innego, jak kolejne formy poszukiwań wyjścia poza dychotomię władza-rynek. Jest to próba przejęcia kontroli nad swoim życiem, nad życiem zbiorowym.

Spółeczeństwo opiekuńcze

Sama kontrola nie jest jednak wystarczającym mechanizmem, który mógłby zapewnić wpływ obywateli-świadomych konsumentów na życie społeczne. Kolejnym pojęciem, które musi się tu pojawić jest

współodpowiedzialność. Nie da się zrównoważyć negatywnych stron rynku i biurokratycznej administracji bez przejęcia części odpowiedzialności. Wszystkie wspomniane wcześniej fale protestów przechodziły od formy spontanicznego buntu do form samoorganizacji, do działań pozytywnych. Czasem przyjmowało to formę inicjatyw uznawanych za skrajnie utopijne (np. postać różnego rodzaju komun), a czasem instytucji akceptowalnych, które zwiększały podmiotowość społeczeństwa. To na fali samoorganizacji ruchu robotniczego, ale też np. feministycznego, tworzyły się spółdzielnie, które wielu odesłało już do lamusa. W swoim czasie niewątpliwie zrewolucjonizowały jednak one

*Nie da się zrównoważyć
negatywnych stron rynku
i biurokratycznej administracji
bez przejęcia części
odpowiedzialności przez
społeczeństwo.*

podejście do własności wspólnej, do opieki nad robotnikiem, do działań samopomocowych. To także organizacje pozarządowe, które na fali krytyki państwa opiekuńczego odegrały znaczącą rolę w demokratyzacji życia społecznego ostatniego stulecia.

Nie ma przyzwolenia społecznego na ubóstwo, wykluczenie społeczne czy getta. Przekonaliśmy się jednak, że zarówno rynek, jak i struktury administracyjne nie zawsze – mimo deklaracji – przyczyniają się do wyrównywania szans i tworzenia przestrzeni dla rozwoju ludzi bez względu na ich przymioty osobiste, posiadane środki czy umiejscowienie w strukturach władzy. To właśnie samoorganizacja, oparta z jednej strony na samopomocy, a z drugiej na solidarności z potrzebującymi może i powinna zapewnić funkcjonowanie systemu, w którym odnajdziemy człowieczeństwo nie odwołując się do bezduszných reguł rynkowych czy równie bezduszných (a czasem wręcz głupich) procedur administracyjnych. Samorządne wspólnoty lokalne (które nie są zdecentralizowaną administracją rządową, ale prawdziwą samoorganizacją lokalnej wspólnoty), niezależne organizacje i ewentualna interwencja państwa na zasadzie pomocniczości to prawdziwie demokratyczne i opiekuńcze społeczeństwo.

Ku lepszemu życiu

Nie wyobrażamy sobie dziś życia o niższym standardzie, choć coraz więcej z nas uznaje, że należy ograniczać rozwój na rzecz stabilizacji jego jakości,

zrównoważonego rozwoju. Jednak jakość życia niekoniecznie przecież oznacza lepszy samochód czy kolejną aplikację na jeszcze lepszy model smartfona. To niekoniecznie gmina ściągająca tysiące bogatych, hałaśliwych turystów. Raczej taka, która zapewni nam spokój i ciszę. Gdy w XIX wieku postępowcy walczyli o 8-godzinny dzień pracy, cel był wyraźny. Człowiek powinien mieć czas na pracę, na rozwój i na odpoczynek. Dziś czas wolny przeznaczamy w dużej części na rozrywkę (hasła nawołujące np. do czytania nie biorą pod uwagę, że ma swoje znaczenie nie tylko to „czy”, ale także „co” się czyta). Można w pewnym uproszczeniu stwierdzić, że rynek powinien zapewnić pracę, a państwo – spokojny odpoczynek. Czas zastanowić się, czy rozwój osobisty, kulturę, edukację wystarczająco zagwarantują mechanizmy rynkowe i dobre prawo. Jeśli nie, czas pomyśleć, jak powinna funkcjonować nasza rzeczywistość wyrwana z dualistycznej pułapki.

Oczywiście, wiele rozwiązań wypracowanych w oddolnych inicjatywach zostanie – jak to bywało wielokrotnie w historii – wykorzystanych rynkowo czy zaadoptowanych do systemu publicznego. W trzecim sektorze widać efekty instytucjonalnego izomorfizmu, gdzie organizacje upodobią się do urzędów lub przedsiębiorstw (biurokratyzacja i przyjęcie logiki rynkowej), przestając być podmiotami emancypacji społecznej, zaspokajania rzeczywistych potrzeb, nośnikami zmian,

*Jakość życia niekoniecznie
oznacza lepszy samochód czy
kolejną aplikację na jeszcze
lepszy model smartfona.
To niekoniecznie gmina
ściągająca tysiące bogatych,
hałaśliwych turystów. Raczej
taka, która zapewni nam
spokój i ciszę.*

Rynek powinien zapewnić pracę, a państwo – spokojny odpoczynek. Czas zastanowić się, czy rozwój osobisty, kulturę, edukację wystarczająco zagwarantują mechanizmy rynkowe i dobre prawo.

metodą oddolnej samoorganizacji. Konieczne jest więc z jednej strony chronienie, a także wspieranie – równocześnie, choć w innych obszarach, tak przez rynek jak i państwo – podmiotowości

obywateli-świadomych konsumentów oraz ich spontanicznej, opartej na odruchu solidarności, samopomocy i odpowiedzialności, postawy krytycznej wobec zachowań nastawionych na indywidualny zysk i władztwa administracji. Z drugiej zaś strony potrzeba silnego zakorzenienia organizacji pozarządowych w społecznościach tak, aby nie stały się elementem dualistycznego systemu, ale niezbędnym dla równowagi elementem „niesystemowości”. To od tej niezależnej sfery aktywności zależeć będzie rzeczywista równowaga między państwem i rynkiem.

O AUTORZE:

Piotr Frączak jest prezesem Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Pozarządowych i redaktorem naczelnym pisma „FederalistKa”.



Marcin Skrzypek

*animator kultury,
Ośrodek „Brama Grodzka –
Teatr NN” z Lublina*

KULTURA – PROFITY NIE TYLKO RYNKOWE

Między organizacją życia kulturalnego a logiką komercyjnego rynku istnieje wiele ciekawych podobieństw i różnic, które mogą być pouczające dla obu stron i zdają się świadczyć, że oba te zjawiska mieszczą się w jakimś szerszym jeszcze modelu rachunku zysków i strat.

Zaczynając od najprostszego przykładu – kiedy animator kultury planuje zorganizować jakąś imprezę (produkt) i musi zdobyć pieniądze na jej realizację oraz zareklamować ją wśród potencjalnych uczestników (klientów), zachowuje się jak jednoosobowe mikroprzedsiębiorstwo z własnym działem rozwoju, marketingiem, kadrami i księgowością. Pośrednicząc między mecenasem (sponsorem lub inwestorem) a odbiorcą, z jednej strony funkcjonuje na rynku bezpośrednich adresatów imprezy, a z drugiej

na rynku grantodawców. Tradycyjnie typ imprezy i sposób reklamy wybierano z portfela rutynowych i sprawdzonych pomysłów, jednak od kilkunastu lat ta sytuacja zmienia się dynamicznie w kierunku coraz większej kreatywności. Obecnie sektor kultury jest prawdopodobnie najbardziej innowacyjnym i płodnym obszarem życia w Polsce, który jednocześnie bardzo szybko się profesjonalizuje, np. w dziedzinie dizajnu czy tzw. budowania publiczności (wydarzenia kulturalne tworzą własne systemy identyfikacji wizualnej i multimedialne akcje promocyjne, a ich organizatorzy podejmują wieloletnie

działania edukacyjno-sieciujące w celu dotarcia do nowych kręgów odbiorców). Co ciekawe, pomysłowość bywa tu odwrotnie proporcjonalna do stabilności finansowej. Duże i syte instytucje budżetowe nie mają po prostu powodu, by szukać nowych rozwiązań. Jest to zgodne nie tylko z logiką rynkową, ale wręcz z teorią darwinizmu: surowsze i mniej stabilne środowisko (w tym wypadku

finansowe) wymaga szybszych mutacji i większego zróżnicowania „pokarmu”. Stąd też źródłem innowacji są głównie środowiska nieformalne lub NGO-sy, dla których inwencja jest nie tylko warunkiem „być albo nie być” na rynku grantodawców, ale przede wszystkim – o czym za chwilę – motorem wszelkiej aktywności.

Produkt nie-produkt

Produkty kultury cechuje względna niematerialność, medialność i łatwa kopiowalność. Nie są to towary

czy urządzenia, których cykl rynkowy jest stosunkowo długi, lecz np. działania, których scenariusz i efekty można szybko i atrakcyjnie zrelacjonować, a także natychmiast (w lepszej wersji) powtórzyć gdzie indziej. Sytuacja ta wykreowała w kulturze wręcz modę na nowatorstwo, które stało się wartością samą w sobie, a może i dla siebie. Pewien wpływ na to ma mechanizm nagrody, tworzony przez rynkowy marketing, próbujący przekonać klientów, że każdy dotychczasowy produkt jest wart wymiany na nowszy. Z tych powodów zaczyna zarysowywać się potrzeba głębszej refleksji nad celami

Sektor kultury jest prawdopodobnie najbardziej innowacyjnym obszarem życia w Polsce. Pomysłowość bywa tu odwrotnie proporcjonalna do stabilności finansowej. Duże i „syte” instytucje nie mają po prostu powodu, by szukać nowych rozwiązań. Źródłem „nowego” są głównie środowiska nieformalne lub NGO-sy, dla których inwencja jest warunkiem „być albo nie być”.

działań kulturalnych i szerszego wdrażania sprawdzonych już wzorców (np. łączenia ekspozycji z narracją), a nawet powrotu do tych starych, zapomnianych (np. nauki recytacji), które może nie są „nowe”, ale skuteczne. Innymi słowy, pojawia się potrzeba bardziej świadomego zdefiniowania przedmiotu wymiany między twórcą kultury a jej fundatorem czy uczestnikiem (konsumentenem).

Jest to sytuacja dość osobliwa w porównaniu z rynkiem komercyjnym, gdzie (przynajmniej w teorii) zawsze wiemy, za co płacimy.

Zarówno owa nieuchwytność, jak i uporczywa innowacyjność produktu kultury ma swoje nie stricte rynkowe źródła, takie jak: samorealizacja i rozwój czy radość z bycia twórcą i członkiem społeczności. W tym sensie człowiek pod względem kulturalnym jest samowystarczalny, a kultura zjawiskiem wręcz antyrynkowym. Możliwość tworzenia czy współuczestnictwa w czymś da się bowiem

„wyprodukować” domowym sposobem i tak dzieje się od czasów prehistorycznych. Produkty spożywcze, posiłek czy naukę gotowania da się skomercjalizować, ale już domowy obiad jest domeną pozarynkowej wolności. Oczywiście i tu automatycznie zaczynają działać prawa metarynkowe – bo rosół cioci, która dobrze gotuje, może cieszyć się większym popytem rodziny niż zbyt twardy kotlet wujka – ale są to zjawiska o charakterze fraktalnym, które powtarzają się w każdej skali. To raczej lokalne ryneczki, które nie liczą się w konkurencji o konkretny segment rynkowego tortu.

Najdroższa waluta

W kontekście tych immanentnie ludzkich potrzeb innowacyjność i nieuchwytność kultury jest w jakimś sensie odpowiedzią na aksjologiczną i semantyczną różnorodność oraz dynamikę współczesnego świata. Rzeczy, które można opisać i odczuć dzieje się po prostu tak dużo, że ich zrozumie-

nie i przetworzenie wymaga dużej aktywności. Stąd tak wielka liczba rozmaitych niszowych środowisk związanych z tzw. „kulturą szeroką”, które zaspokajają swoje potrzeby kulturalne na zasadach samoobsługowych. Część z nich deklaruje skrajną ideologiczną niezależność od jakichkolwiek funduszy zewnętrznych lub postaw rynkowych (np. ruch D.I.Y – „do it yourself”). Inne stają się producentami swoich wydarzeń, które „sprzedają detalicznie” na własną rękę (np. tzw. fandom czytelników fantastyki czy ruch rekonstrukcji historycznych). Generalnie działają one jednak poza głównym nurtem komercyjnym, ponieważ są dla

niego nieopłacalne. Gęstość siły nabywczej tych grup (np. w przeliczeniu na obszar dystrybucji czy liczebność targetu reklamowego) jest zbyt niska. Tych „ryb” po prostu nie opłaca się łowić siecią. Można, co najwyżej, od czasu do czasu wykreować lub skonsumować jakąś mainstreamową modę na niszową dotychczas wartość, co już wielokrotnie działo się np. w muzyce: z rock and rollem, punkiem czy naszą rodzimą muzyką folkową.

Te nieopłacalne dla przemysłowego połowu „ryby”, pływające w zastoiskach rynkowej rzeki są jednak niezwykle ważne dla stabilności całego ekosystemu,

czego nie da się zrozumieć bez owej głębszej refleksji, po co i czym jest kultura. Odpowiedź na to pytanie ma związek z plastycznością ludzkich hierarchii wartości i pewnym ciekawym zasobem, o który toczy się obecnie chyba najbardziej zażarta walka rynkowa – ludzkim czasem i uwagą. Są one główną

Czas i uwaga są dobrem o tyle ciekawym, że rozdzielanym absolutnie sprawiedliwie i nie podlegającym kumulacji. Każdy dostaje dziennie 24 godziny, których nie można zatrzymać „na później”. Podobnie jest z uwagą, która, wbrew nowoczesnym trendom, też nie jest z gumy.

„walutą”, którą bezpośrednio „płaci się” w kulturze. Wspomniany na wstępie animator musi u odbiorców wzbudzić swoją imprezą na tyle duże zainteresowanie, aby zechcieli oni poświęcić jej swój czas i uwagę zamiast – i tu pojawia się element konkurencji – np. gapić się w telewizor lub serwis internetowy, gdzie stają się marketingowym targetem, tym samym nieświadomie „płacąc” swoimi cennymi zasobami emitentom reklam. Nie bez powodu nazywa się telewizor czy internet „złodziejem czasu”, a fakt, że przeciętny Polak ogląda telewizję ponad 3 godziny dziennie oznacza, że nie robi w tym czasie innych rzeczy.

Rynek działa tak, aby swój czas i uwagę ludzie poświęcali wymianie handlowej a w mniejszym stopniu sobie nawzajem. Dlatego też żywa kultura staje się barierą dla zaborczo rozwijającej się sfery komercyjnej, ale też szansą na jej zrównoważenie, zapobiegające w dłuższej perspektywie rynkowej implozji.

Czas i uwaga są dobrem o tyle ciekawym, że rozdzielanym absolutnie sprawiedliwie i nie podlegającym kumulacji. Każdy dostaje dziennie 24 godziny, których nie można zatrzymać „na później”. Podobnie z uwagą, która – mimo poszerzania jej e-gadżetami i stosowania multitaskingu – nie jest z gumy. Czas i uwaga potrzebne są przede wszystkim do komunikacji. To, na co poświęcamy czas i uwagę przekłada się bowiem na konkretne wybory, w tym decyzje o wydawaniu pieniędzy. Wie o tym rynek reklamy, który bezkarnie „spamuje” naszą uwagę w przestrzeni publicznej i wiedzą projektanci centrów handlowych, którzy starają się, aby ludzie spędzali w nich jak najwięcej czasu. Wie o tym też kultura, np. rozróżniająca dyskotekę od soundsystemu. W obu przypadkach tańczy się do muzyki, ale na dyskotece didżej po prostu obsługuje sprzęt grający, podczas gdy w soundsystemie (wynalazek jamajski) didżej bardzo świadomie przekazuje uczestnikom wiedzę i wartości. Chce podzielić się swoimi fascynacjami, czymś nowym dla słuchaczy, zaskoczyć ich. W kulturze liczy się bowiem bycie razem, komunikowanie się bez pośrednictwa podmiotów, które chciałyby pobierać za to opłatę. Kiedy dostrzeżemy, że czas i uwaga są ludzkim zasobem, które można spieniężać lub przeznaczać na działania pozarynkowe, zrozumiałym będzie, że rynek

komercyjny działa tak, aby ludzie w jak największym stopniu poświęcali je wymianie handlowej, a w jak najmniejszym sobie nawzajem. Dlatego też żywa kultura staje się barierą dla zaborczo rozwijającej się sfery komercyjnej, ale też szansą na jej zrównoważenie, zapobiegające w dłuższej perspektywie rynkowej implozji (czego w takiej lub innej postaci jesteśmy świadkami co parę lat).

Festiwale, czyli kultura po polsku

Niestety, w naszym kraju brakuje tej samoświadomości wśród dysponentów finansowego potencjału, takich jak przedsiębiorcy, instytucje publiczne czy politycy. Zaangażowanie biznesu w kulturę skupia się na efekcie wizerunkowym (cel – maksymalizacja zysków). Mimo szumnych haseł społecznej odpowiedzialności, gracze rynkowi rzadko mówią o swojej roli w rozwoju społecznym czy edukacji, a polepszanie jakości życia mieszkańców rozumieją jako efekt indywidualnej satysfakcji z kupna czegoś. Nieco lepiej jest w przypadku małych firm związanych z lokalnymi społecznościami. One myślą o swoim zaangażowaniu bardziej długofalowo i kompleksowo, ale często nie mają środków na realizację tych wizji. Również politycy działają w logice rynkowej, ciężko pracując na swój wizerunek, by móc potem lepiej „sprzedać się” w kampanii wyborczej. Dlatego też pojawia się z ich strony duże parcie na kulturalną „eventowość”, która od czasów faraonów ma też swoje inwestycyjne wcielenie (budowa muzeów, oper itp., mających sławić imię władz-budowniczych, podczas gdy ich sens merytoryczny, ekonomiczny lub krajobrazowy stał pod dużym znakiem zapytania). Festiwal daje znaczny zysk wizerunkowy i marketingowy, jednak nie tworzy trwałego rezultatu społecznego. Czy jest to element polskiego charakteru, któremu przypisuje się zamiłowanie do zrywów i żywiołowych improwizacji oraz niechęć do systematyczności i długookresowych procesów? Bardziej prawdopodobnym jest, że brakuje nam po prostu wiedzy

o tym, jak ważne i wartościowe są długofalowe inwestycje w kulturę. Brakuje nam tu podstawowej kompetencji rynkowej przedsiębiorczości, pozwalającej na dywersyfikację działań i odłożenie nagrody w czasie.

Podobnie zdrowych mechanizmów z dziedziny rynku i przedsiębiorczości brakuje też naszym instytucjom administracji publicznej. Mimo faktu, że obywatel jest zarówno ich klientem, jak i pracodawcą, w jakiś przedziwny sposób pozwalają one sobie na rugowanie go z pola widzenia. Ciąła publiczne często zdają się żyć we własnym świecie, w którym sukces jest mierzony zgodnością z procedurami (w czym niewątpliwie winą przerostu aparatu kontroli), a nie efektem merytorycznym i zadowoleniem odbiorcy. Rynek sam reguluje te zależności, dając klientowi możliwość wyboru, a tym samym narzucając biznesowi konieczność nieustannego doskonalenia się w kontakcie z klientem. Ale kraju lub miasta nie wybiera się tak łatwo jak produktu ze sklepowej półki. Zarówno rząd,

jak i samorządy nie mają więc takiej motywacji, by utrzymywać „działy rozwoju”, za to pełno w ich działaniu inercji i bezrefleksyjności. Trudno znaleźć w urzędach empatię w stosunku do potrzeb obywateli czy mechanizmy doskonalenia sposobów ich zaspokojenia. Bardziej liczy się „wypełnianie przepisów,” „wykonywanie budżetów”. Ludzie i ich potrzeby generalnie przeszkadzają w „realizacji zadań”.

Tymczasem człowiek i jego potrzeby są tym, co powinno być w centrum naszej uwagi. Coraz popularniejsze staje się tzw. projektowanie zorientowane na człowieka – od opracowywania procedur po budowanie infrastruktury. Jest ono wyborem nie tylko rynkowo opłacalnym, ale także mądrym i moralnie dobrym, gdyż wyraża naszą troskę o innych. Może to właśnie ono jest brakującym elementem zdrowego i zrównoważonego rynku, którego nie zapewnią tradycyjne mechanizmy, gdyż pochodzi ono z innego świata – świata kultury.

O AUTORZE:

Marcin Skrzypek jest pracownikiem lubelskiego Ośrodka „Brama Grodzka Teatr NN” a także muzykiem folkowej Orkiestry św. Mikołaja. Z wykształcenia anglista, z zamiłowania analityk kultury i publicysta. Ostatnio współautor aplikacji Lublina do tytułu ESK 2016 oraz Strategii Rozwoju Lublina 2020. Popularyzator kultury przestrzeni, partycypacji społecznej i tzw. kultury szerokiej (d.i.y, kultury niszowe itp.).

KONIUNKTURA GOSPODARCZA

Oceny koniunktury gospodarczej w IV kwartale 2013 r. w województwie pomorskim były, w zależności od sektora, zróżnicowane. W trzech spośród siedmiu z nich, liczba przedsiębiorców dobrze oceniających warunki gospodarowania przeważała nad liczbą opinii negatywnych.

Niezmienne najlepsze noty cechowały sektor informacji i komunikacji, w którym wartość wskaźnika ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa w grudniu sięgnęła +25,7 pkt. Gorzej, choć nadal dobrze, oceniali sytuację reprezentanci firm działających w zakresie przetwórstwa przemysłowego (+10,3 pkt.) oraz transportu i gospodarki magazynowej (+2,1 pkt.).

Na przeciwnym biegunie uplasowały się sektory takie jak: zakwaterowanie i usługi gastronomiczne (−38,6 pkt.), budownictwo (−20,6 pkt.) oraz handel detaliczny (−20,3 pkt.). Bardzo negatywne oceny koniunktury w dwóch pierwszych sektorach podyktowane były sezonowym spadkiem popytu.

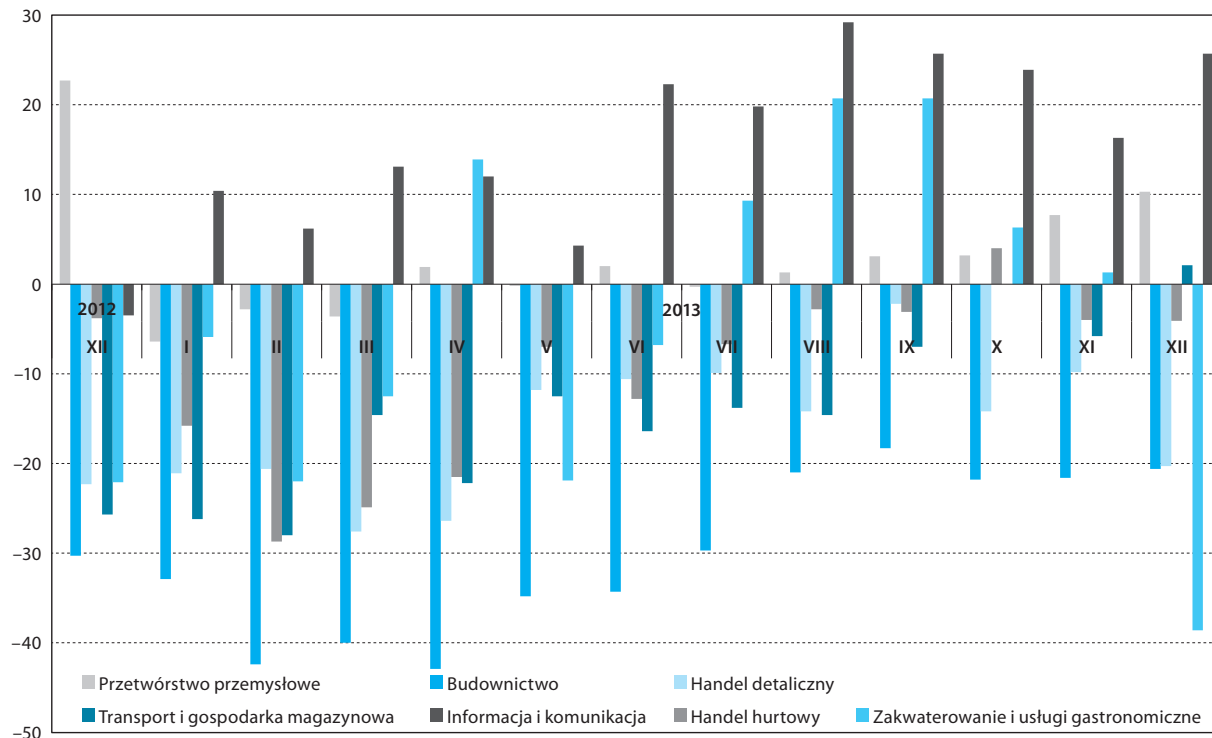
Nieco więcej optymizmu niesie ze sobą analiza zmian wskaźników ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa w czasie. Dla czterech spośród siedmiu analizowanych branż odnotowano poprawę, biorąc za punkt odniesienia stan sprzed roku (grudzień 2012 r.). O znaczącym progresie można mówić zwłaszcza w odniesieniu do sektora informacji i komunikacji, gdzie wskaźnik bieżącej ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa wzrósł w ujęciu rocznym o 29,2 pkt., oraz w przypadku transportu i gospodarki magazynowej (wzrost o 27,8 pkt.). Zauważalna poprawa nastąpiła także w budownictwie



dr Maciej Tarkowski

*Uniwersytet Gdański
i Instytut Badań
nad Gospodarką Rynkową*

Rysunek 1. Indeks bieżącej ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa wg sektorów w województwie pomorskim w latach 2012–2013



Przedział wahań wskaźnika wynosi od -100 do +100. Wartości ujemne oznaczają przewagę ocen negatywnych, dodatnie – pozytywne.
Źródło: Opracowanie IBnGR na podstawie danych GUS

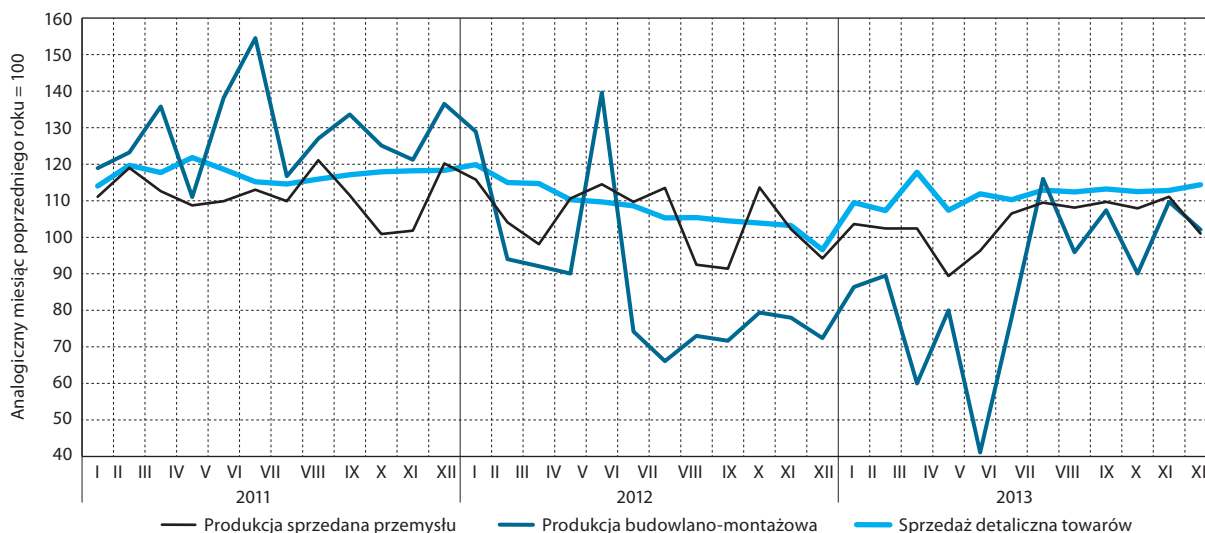
(+9,7 pkt.). Natomiast regres odnotowano w sektorze zakwaterowania i usług gastronomicznych (-16,5 pkt.) oraz w przetwórstwie przemysłowym (-12,7 pkt.). Nieznacznie zmieniły się natomiast oceny w handlu detalicznym (+2,0 pkt.) oraz handlu hurtowym (-0,3 pkt.).

W czterech spośród siedmiu analizowanych sektorów koniunktura gospodarcza w województwie oceniana była lepiej niż przeciętnie w Polsce. Pod tym względem szczególnie wyróżniało się przetwórstwo przemysłowe, gdzie różnica indeksu wojewódzkiego i ogólnopolskiego sięgnęła +17,6 pkt. W rezultacie województwo pomorskie uplasowało się na szóstym miejscu w rankingu wojewódzkim. W zdecydowanie gorszej sytuacji niż przeciętnie w kraju znaleźli się natomiast reprezentanci sektora zakwaterowania i usług gastronomicznych – indeks bieżącej ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa osiągnął wartość o 26,3 pkt. niższą od wartości

ogólnopolskiej, zaś województwo zajęło przedostatnią pozycję wśród polskich regionów.

Na podstawie indeksu przewidywanej ogólnej sytuacji przedsiębiorstwa można mówić o umiarkowanych nastrojach przedsiębiorców. W czterech spośród siedmiu analizowanych rodzajów działalności przeważa pesymizm. Uwagę w szczególności zwraca branża budowlana, dla której wskaźnik wyprzedzający osiąga -27,6 pkt. oraz zakwaterowanie i usługi gastronomiczne (z indeksem wyprzedzającym sięgającym -25,9 pkt.). Jest to poniekąd zrozumiała sytuacja, biorąc pod uwagę wpływ sezonowości na ten rodzaj działalności gospodarczej. W perspektywie trzech miesięcy o dobrych nastrojach można natomiast mówić w przypadku: przetwórstwa przemysłowego (+3,2 pkt.), transportu i gospodarki magazynowej (+2,5 pkt.) oraz informacji i komunikacji (+2,1 pkt.).

Rysunek 2. Dynamika produkcji sprzedanej, budowlano-montażowej i sprzedaży detalicznej w województwie pomorskim w latach 2011–2013



Źródło: Opracowanie IBnGR na podstawie danych Urzędu Statystycznego w Gdańsku

DZIAŁALNOŚĆ PRZEDSIĘBIORSTW

Na koniec 2013 r. liczba podmiotów gospodarki narodowej wyniosła 271,8 tys. Zwiększała się ona nieznacznie w każdym miesiącu IV kwartału. W stosunku do końca III kwartału dynamika liczby podmiotów gospodarczych kształtowała się na poziomie 0,4 proc., a w odniesieniu do grudnia 2012 r. – 2,5 proc. Zaobserwowany wzrost nie był duży – można interpretować go w kategoriach stagnacji, która jest typowa dla półrocza jesienno-zimowego (IV i I kwartał). Z drugiej strony warto jednak podkreślić, że ten minimalny wzrost wpisał się tendencję obserwowaną w całym 2013 r. – z miesiąca na miesiąc podmiotów gospodarki narodowej przybywało. Jak już wielokrotnie wskazywano trudno o jednoznaczną interpretację obserwowanego zjawiska. Najbardziej oczywiste wytłumaczenie zakłada rzeczywisty wzrost przedsiębiorczości. Taka interpretacja jest jednoznacznie korzystna. Dane dotyczące produkcji czy zatrudnienia nie wskazują jednak na to, aby

„przeprześć” do działania nowych firm wyraźnie się powiększała. Wydaje się więc, że poważnie trzeba traktować interpretację zakładającą, że wzrost liczby podmiotów gospodarki narodowej jest paradoksalną konsekwencją nienajlepszej kondycji gospodarki. Z jednej strony przedsiębiorcy skłaniają pracowników do podjęcia samozatrudnienia, próbując w ten sposób ograniczyć koszty i uelastyczyć zatrudnienie. Z drugiej – pracownicy zwolnieni lub zagrożeni zwolnieniem w ten właśnie sposób próbują odnaleźć się na rynku pracy. Choć tak postrzegany wzrost przedsiębiorczości jest wymuszony, to płynie z niego jedna podstawowa korzyść – utrzymanie kontaktu z rynkiem pracy. Ponadto samozatrudniony nabywa nowych kompetencji związanych z prowadzeniem własnej jednoosobowej firmy. Kompetencje te są także przydatne podczas wykonywania pracy najemnej. Jednocześnie samozatrudnienie pozbawia pracujących

szeregu korzyści normowanych kodeksem pracy oraz nawet względnej pewności co do czasu trwania relacji z pracodawcą, który staje się po prostu współpracującą firmą.

Wyniki produkcji i sprzedaży detalicznej w IV kwartale były względnie korzystne, choć nie wyłamywały się z wcześniej zarysowanych trendów. Pozytywnie należy ocenić trwałą poprawę wskaźników dynamiki produkcji budowlano-montażowej. W znacznej mierze jest to efekt bazy – czyli niskiej wartości produkcji w analogicznym okresie roku poprzedniego (IV kwartał 2012 r.). W tym kontekście możemy mówić o ustabilizowaniu się sytuacji omawianego sektora. Niestety na dość niskim poziomie. Pewne perspektywy poprawy wiązać można chociażby z przyspieszeniem budowy drogi ekspresowej S7. Niezależnie od rozstrzygnięć przetargu, podwykonawcy mają szansę na dość istotne zamówienia.

W IV kwartale rosła produkcja sprzedana przemysłu. Efekt końcowy popsuły jednak wyniki grudniowe. Wpływ na nie miał kalendarz – święta Bożego

Narodzenia oraz Sylwester i Nowy Rok przypadały w dni robocze w środku tygodnia, co sprzyjało długim urlopom i rzutowało na wyniki produkcji. Niemniej jednak zaobserwowane zmiany oscylowały ciągle wokół poziomu oznaczającego stagnację, co nadal pozwala uważać za prawdopodobną tezę o wyhamowaniu trwającej już ponad trzy lata tendencji, polegającej na systematycznym spadku dynamiki produkcji sprzedanej przemysłu i przejściu do fazy stagnacji.

Jednocześnie w opisywanym okresie kontynuowany był wyraźny wzrost sprzedaży detalicznej. Była to kontynuacja zmian zapoczątkowanych w styczniu br. Rok 2013 okazał się zatem wyraźnie korzystniejszy od poprzedniego, w którym dynamika sprzedaży detalicznej sukcesywnie spadała. Jest to oczywiście bardzo dobra wiadomość dla firm obsługujących rynki lokalne i rynek krajowy, które zapewniają większość miejsc pracy w regionie.

HANDEL ZAGRANICZNY

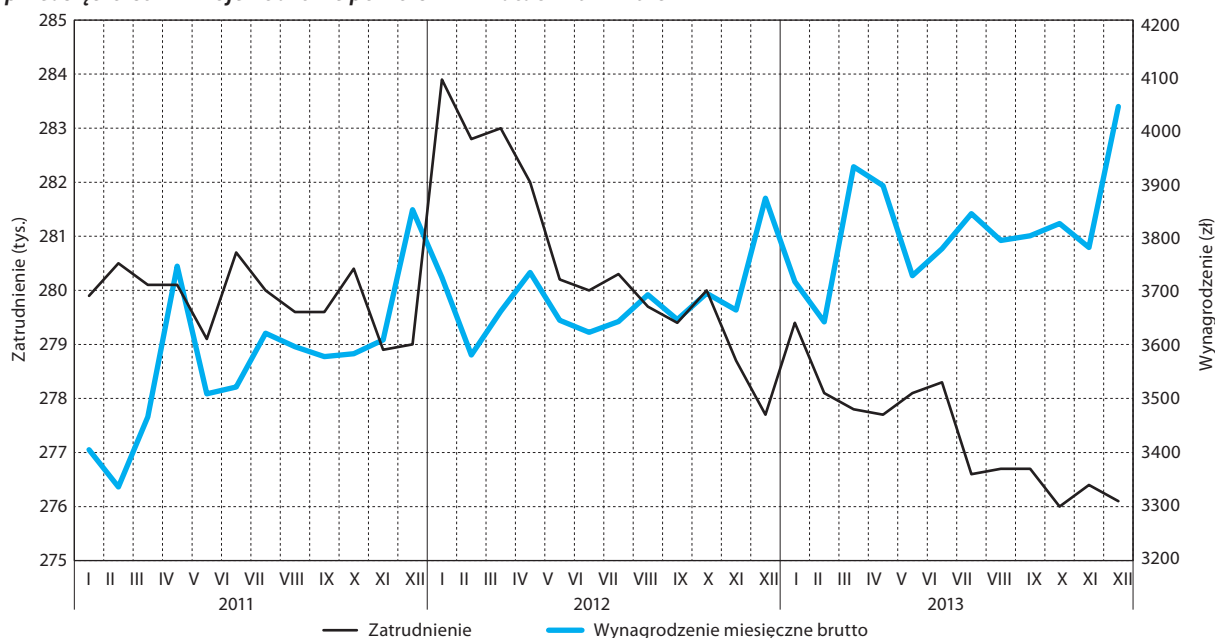
W listopadzie 2013 r.¹ wartość eksportu wyniosła 792,4 mln euro, zaś importu 1338,5 mln euro. W stosunku do analogicznego okresu roku poprzedniego odnotowano 8-proc. wzrost wartości eksportu i 33-proc. wzrost wartości importu. Saldo wymiany handlowej województwa pomorskiego z zagranicą pozostawało ujemne i wyniosło –546 mln euro. Wartość eksportu stanowiła 59 proc. wolumenu importu.

W analizowanym okresie największy udział (39,5 proc.) w strukturze geograficznej importu miały kraje byłego ZSRR². W porównaniu do listopada

2012 r. ich udział spadł jednak bardzo istotnie, bo o prawie 12 pkt proc. Spadek udziału odnotowały również pozostałe kraje (o prawie 10 pkt proc.), plasując się na przedostatniej pozycji. Drugą ważną grupę krajów pochodzenia importu stanowiły kraje kapitalistyczne, których udział wzrósł najbardziej, bo o ponad 21 pkt proc. Kraje UE i kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie odnotowały istotnych zmian w strukturze importu w ujęciu rocznym.

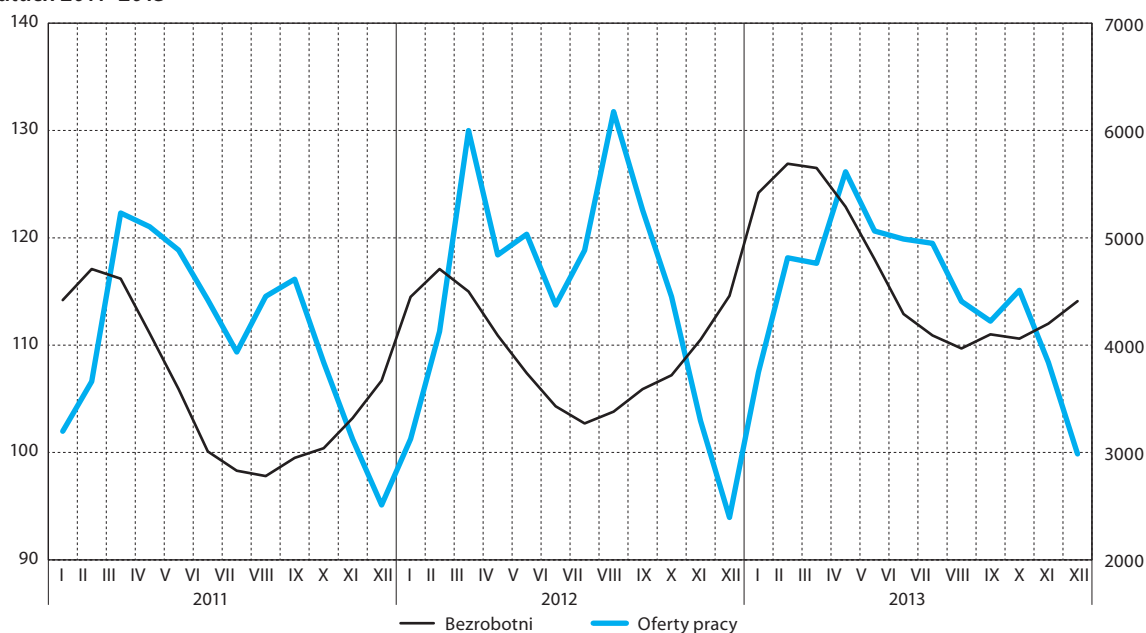
W strukturze geograficznej eksportu w listopadzie 2013 r. najwyższy udział miały kraje UE – 55,4 proc.

Rysunek 3. Wielkość zatrudnienia i poziom przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia brutto w sektorze przedsiębiorstw w województwie pomorskim w latach 2011–2013



Źródło: Opracowanie IBnGR na podstawie danych Urzędu Statystycznego w Gdańsku

Rysunek 4. Liczba bezrobotnych i ofert pracy zgłoszonych do urzędów pracy w województwie pomorskim w latach 2011–2013



Źródło: Opracowanie IBnGR na podstawie danych Urzędu Statystycznego w Gdańsku

Ich udział jednak spadł – może nie tak istotnie, jak w poprzednim kwartale – ale o prawie 8 pkt proc. Na drugiej pozycji uplasowały się pozostałe kraje z 19 proc. wkładem i jego wzrostem o 1,4 pkt proc.

Wzrost zanotowały również kraje kapitalistyczne – o prawie 7 pkt proc. Udział krajów byłego ZSRR oraz Europy Środkowo-Wschodniej nie zmienił się istotnie.

RYNEK PRACY I WYNAGRODZENIA

Zmiany zatrudnienia w sektorze przedsiębiorstw w IV kwartale 2013 r. wpisały się w negatywną tendencję, jaka cechowała cały rok. Na koniec grudnia zatrudnienie kształtowało się na poziomie 276,1 tys. W stosunku do końca września spadek był niemal niezauważalny, ale w porównaniu do końca stycznia br. ubyło 1,2 proc. zatrudnionych. W liczbach bezwzględnych oznacza to 3,3 tys. mniej niż w styczniu 2013 i aż o 7,8 tys. mniej niż w rekordowym styczniu 2012 r. Analizowane dane dotyczą podmiotów o liczbie pracujących przekraczającej 9 osób. Tym samym obejmują ok. 40 proc. ogółu pracujących. Jeżeli przyjąć, że skala redukcji zatrudnienia była podobna w pozostałych firmach, to ubyło ponad dwa razy więcej miejsc pracy, niż wskazują na to przytoczone dane.

W grudniu 2013 r. przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw wynosiło 4040 zł i było, za sprawą wypłacanych premii, wyraźnie wyższe niż we wrześniu. Natomiast w porównaniu do grudnia 2012 r. wynagrodzenia wzrosły o 4,4 proc. Można zatem mówić nie tylko o nominalnym, ale także realnym wzroście wynagrodzeń (inflacja na poziomie 1 proc.).

W IV kwartale 2013 r. wzrosła liczba bezrobotnych. Na koniec grudnia wynosiła ona 114 tys. osób. Stopa bezrobocia kształtowała się na poziomie 13,3 proc. W stosunku do końca września br. liczba bezrobotnych wzrosła o 2,8 proc. (stopa bezrobocia wzrosła

o 0,3 pkt. proc.). Obserwowany przyrost był stosunkowo mały. Dla porównania, w IV kwartale 2012 r., kształtował się on na poziomie 8,2 proc. Można zatem mówić o słabnięciu wzrostowej dynamiki bezrobocia. Takie twierdzenie znajduje także oparcie w zmianach rocznych. Otóż w stosunku do końca grudnia ubiegłego roku liczba bezrobotnych spadła o 0,4 proc. Spadek był nieznaczny, ale liczy się fakt, że w ogóle miał miejsce. Dla porównania, dynamika liczby bezrobotnych w ujęciu rocznym wynosiła w grudniu: 2012 r. – 7,4 proc.; 2011 r. – 1,9 proc.; 2010 r. – 4,4 proc. W poprzednich latach wzrost liczby bezrobotnych był więc wyraźny. Obecnie można mówić o jego wyhamowaniu.

Stosunkowo nieduży wzrost bezrobocia w ujęciu kwartalnym nie spowodował większych zmian w liczebności bezrobotnych w wieku do 25 lat. W przypadku dwóch pozostałych analizowanych kategorii, znajdujących się w szczególnej sytuacji na rynku pracy – bezrobotnych w wieku 50 lat i więcej oraz bezrobotnych długotrwale – odnotowano wzrost liczebności na poziomie odpowiednio 8 i 6 proc. Z kolei niewielki spadek liczby bezrobotnych, jaki odnotowano w ujęciu rocznym, przełożył się na wyraźną – blisko 9 proc. – redukcję liczby bezrobotnych w wieku do 25 lat. Są oni mobilni, zarówno pod względem zawodowym, jak i przestrzennym. Małe doświadczenie i zasoby wiedzy ukrytej (specyficznej dla firm) ułatwiają tę mobilność, a także

ograniczają presję płacową. W trudnej sytuacji to, co zwykle oceniane jest jako słaba strona młodych pracowników, może być ich atutem. Roczny wzrost liczby bezrobotnych w pozostałych dwóch grupach (odpowiednio o 8 i 10 proc.) to konsekwencja generalnie trudnej sytuacji na rynku pracy, jaka ma miejsce od 2009 r. Duża liczba osób, która po tym okresie straciła pracę, nie może jej znaleźć do chwili obecnej. W kategorii osób długotrwale bezrobotnych znajduje się także dość duża, choć trudna do dokładnego oszacowania, liczba zainteresowanych jedynie formalnym statusem bezrobotnego i wynikającymi z niego korzyściami. W rzeczywistości nie chcą oni

podjąć zatrudnienia – w ogóle albo przynajmniej na oferowanych warunkach.

W grudniu 2013 r. do urzędów pracy napłynęło 3 tys. ofert zatrudnienia. W ciągu całego kwartału liczba ta spadała, co miało związek z zakończeniem prac sezonowych. Liczba ofert pracy była bardzo niska, co jest typowe dla omawianego kwartału. Jednocześnie wyniki grudniowe były nieznacznie lepsze niż przed rokiem, a cały 2013 r. pod względem liczby ofert pracy był zbliżony do 2012 r. Na tej podstawie trudno oczekiwać istotnych zmian, przynajmniej w pierwszej połowie 2014 r.

WAŻNIEJSZE WYDARZENIA

Energetyczne priorytety na liście Komisji Europejskiej

Na liście najważniejszych projektów, które mogą liczyć na unijne dofinansowanie znalazła się rozbudowa naftociągu pomorskiego wraz z budową terminala w Gdańsku i rozbudowa terminala LNG w Świnoujściu. Wskazane przez Komisję Europejską projekty będą mogły ubiegać się o dofinansowanie z nowego funduszu infrastrukturalnego Connecting Europe Facility (CEF), utworzonego w budżecie UE na lata 2014–2020. W tym funduszu na projekty energetyczne znajdzie się 5,8 mld euro. Nie ma gwarancji, że wszystkie projekty z listy dostaną unijne wsparcie, ale wszystkie będą mogły skorzystać z przyspieszonej ścieżki pozwolenia na budowę. Zamiast czekać nawet 12 lat, inwestujący w kluczowe transgraniczne sieci energetyczne i rurociągowo mają dostać decyzję w ciągu maksymalnie 3,5 roku. Będą mogli oni też skorzystać z tańszego kredytowania m.in. w ramach

tzw. obligacji projektowych, które gwarantować będzie Europejski Bank Inwestycyjny. Granty unijne będą mogły być udzielane na inwestycje, jeśli będą one nie do zrealizowania w warunkach komercyjnych, ale będą niosły korzyści społeczne. Chodzi o zwiększenie bezpieczeństwa dostaw, integrację wewnętrznego rynku energii oraz podłączanie źródeł odnawialnych do sieci.

PSE będą inwestować w Polsce Północnej

Polskie Sieci Energetyczne zapowiadają rozbudowę sieci i linii elektroenergetycznych głównie na Pomorzu. Na inwestycję przeznaczono prawie 2 miliardy złotych. Środki mają być wydane w ciągu najbliższych 5 lat. Ma powstać m.in. ok. 250–300 km linii przesyłowych i dwie duże stacje elektroenergetyczne: Pelplin i Gdańsk-Przyjaźń. 21 października w Gdańsku 34 sygnatariuszy, m.in. marszałek województwa pomorskiego, wojewoda pomorski, prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych

oraz kilkudziesięciu samorządowców, podpisało list intencyjny w sprawie współpracy. Pomorskie należy do czołowych regionów w kraju pod względem wielkości inwestycji w sieci. Inwestycje te umożliwią powstanie nowych obiektów energetycznych – elektrowni węglowej koło Pelplina, farm wiatrowych czy mniejszych obiektów wykorzystujących odnawialne źródła energii.

Ponad 210 mln zł środków unijnych na gdyńskie inwestycje portowe

Koniec 2013 r. był pracowity, a zarazem bardzo owocny dla Zarządu Morskiego Portu Gdynia S.A. Dzięki podpisaniu szeregu umów udało się pozyskać, w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2007–2013, łącznie 210 mln zł dofinansowania na cztery duże przedsięwzięcia: zagospodarowanie rejonu Nabrzeża Bułgarskiego, przebudowę Nabrzeża Szwedzkiego, rozbudowę układu drogowego i kolejowego we wschodniej części portu oraz przebudowę intermodalnego terminala kolejowego. Uporządkowanie, udrożnienie ruchu w porcie oraz zwiększenie możliwości przeładunkowych w tym o obsługi intermodalnej. Zagospodarowanie rejonów nabrzeży również zwiększy możliwości przeładunkowe, w tym umożliwi cumowanie statków typu Panamax przy Nabrzeżu Szwedzkim.

W DCT Gdańsk przeładowano milionowy kontener

15 listopada w Głębokowodnym Terminalu Kontenerowym (DCT) Gdańsk przeładowano milionowy – w 2013 r. – kontener. W ten symboliczny sposób podkreślona została rola DCT Gdańsk jako hubu dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej i Rosji. Sześć lat działalności terminalu odmieniło strukturę przewozów w tej części Europy, wynosząc Gdańsk z pozycji marginalnego gracza w światowych przewozach towarowych do roli głównego ogniwa spajającego rynki azjatyckie z Regionem Morza Bałtyckiego. Utrwalenie tej

pozycji wymaga doskonalenia transportu i przeładunku w relacjach dowozowych, z głównymi portami bałtyckimi.

Dodatkowe przystanki Pomorskiej Kolei Metropolitalnej

Dodatkowe przystanki na trasie PKM to: Gdańsk Osowa oraz Gdynia Karwiny i Gdynia Stadion. Marszałek Województwa Pomorskiego Mieczysław Struk poinformował, że są już gotowe projekty oraz znane źródła finansowania ich budowy. Rozszerzenie nie spowoduje opóźnień w zakończeniu inwestycji. Wzrosną za to jej koszty. Trzeba będzie dopłacić 23,6 mln zł netto więcej, jednak 85 proc. kosztów kwalifikowanych inwestycji finansuje UE. PKM liczy, że w lutym przyszłego roku otrzyma pozwolenie na budowę przystanków. W ramach budowanej PKM mają powstać m.in. 17-kilometrowy odcinek dwutorowej linii kolejowej od stacji Gdańsk Wrzeszcz do połączenia z linią nr 201 Gdynia-Kościężyna, 1,4-kilometrowy odcinek jednotorowej łącznicy PKM z linią kolejową nr 201 oraz 16 wiaduktów kolejowych, 8 wiaduktów drogowych i 5 przejść nad torami.

Spada poparcie dla atomu w województwie pomorskim

Na razie spadek jest nieznaczny. Badania w czerwcu 2013 roku przeprowadził instytut TNS Polska, w niektórych gminach województwa pomorskiego (Gniewino, Krokowa, Choczewo, Gdańsk, Gdynia, Sopot) i zachodniopomorskiego (Mielno, Koszalin). Poprzednie badanie przeprowadzono w październiku 2012 roku. W badanych gminach województwa pomorskiego budowę elektrowni jądrowej popiera 59 proc. pytanym mieszkańców, a zachodniopomorskiego – 29 proc. W ubiegłorocznym sondażu inwestycję popierało odpowiednio 61 proc. i 28 proc. respondentów.

Lotos i Grupa Azoty inwestują w Gdańsku

Koncerny powołują spółkę celową do budowy kompleksu petrochemicznego w Gdańsku, którego koszt szacowany jest na 12 mld zł. Na początku grudnia podpisały w tej sprawie porozumienie. Do tego zawarły porozumienie z Polskimi Inwestycjami Rozwojowymi, które mogą zapewnić wsparcie w wysokości do 750 mln zł. Planowana inwestycja petrochemiczna ma obejmować instalację kradkingu parowego i produkcji polietylenu oraz kompleks instalacji aromatów. Według planów budowa kompleksu powinna ruszyć w 2016 r., a sam zakład powinien zacząć pracę w 2019 r. Wg szacunków inwestorów przy budowie kompleksu pracę znajdzie nawet około 5 tys. osób, a po jego oddaniu do użytku zatrudnionych będzie ok. 2 tys. osób, nie licząc pracowników w firmach kooperujących.

Nowy kontrakt Gdańskiej Stoczni Remontowej

Zakład wybuduje pięć statków handlowych dla Grenlandii. Stocznia podpisała umowę z Królewską Linią Arktyczną – RAL. Jednostki powinny być gotowe do połowy 2015 roku. Największy wśród nich będzie statek przystosowany do żeglugi po Atlantyku. Ma przewozić do 600 kontenerów. Dwa średnie będą transportować po 100 kontenerów i będą obsługiwać północ Grenlandii. Dwie najmniejsze jednostki posłużą do przewozu po 30 kontenerów. Mają pływać u wybrzeży Grenlandii. Wartość kontraktu nie jest znana.

Nowy kontrakt gdyńskiej Nauty

Stocznia zbuduje nowoczesny statek badawczy dla Uniwersytetu w Goeteborgu. Zakład pokonał w przetargu 13 innych firm z Europy. Wartość kontraktu opiewa na 60 mln zł, a jednostka ma być gotowa za dwa lata. Statek badawczy będzie jednocześnie pływającym laboratorium. Ma umożliwić prowadzenie badań nad zmianami klimatu, układem

prądów morskich czy stanem wód. Na jego pokładzie zmieści się pięcioosobowa załoga i 20 naukowców czy studentów.

Lotos Petrobaltic ma nową platformę wiertniczą

Zakupiona u zachodnich wybrzeży Afryki platforma rozpocznie wiercenia na koncesjach Lotosu. Zastąpi starszą platformę „Petrobaltic”. Kwoty transakcji nie podano, wiadomo natomiast, że to czwarta platforma spółki Lotos Petrobaltic. Główny trzon jej załogi będą stanowili obecni pracownicy spółki. Jednocześnie w połowie przyszłego roku ruszy przebudowa dotychczasowej platformy wiertniczej „Petrobaltic” na platformę eksploatacyjną. Po zakończeniu inwestycji platforma stanie się centrum produkcyjnym.

W 2015 roku tramwajem na Morenę

W grudniu ruszyła budowa nowej linii tramwajowej w Gdańsku. Połączy osiedla Siedlce i Piecki Migowo. Inwestycje realizują firmy: MTM z Gdyni i Rajbud z Tczewa. Obie zostały wybrane w przetargu. Nowa linia będzie kosztowała 112 mln złotych. Tramwaj pojedzie wzdłuż ulic Nowolipie i Rakoczego. Wspólny peron integrować będzie końcowy przystanek tramwajowy z przystankiem Brętowo, budowanej właśnie Pomorskiej Kolei Metropolitalnej. Przy okazji w Gdańsku powstaną też wspólne przystanki tramwajowo-autobusowe, co będzie nowością w mieście. Inwestycja jest dużym przedsięwzięciem logistycznym. W jej ramach zostanie także przebudowana sieć wodociągowa i kanalizacyjna na ulicach: Kartuskiej, Schuberta, Nowolipie, Rakoczego. Przewidziano też likwidację przepompowni wody Nowolipie. Obecna pętla tramwajowa Siedlce zmieni swój charakter. Zostanie tak przebudowana, że będzie pełniła rolę węzła uwzględniającego ruch tramwajowy, autobusowy, samochodowy, pieszy i rowerowy. Do tego powstaną też miejsca postojowe dla samochodów osobowych.

Natomiast na odcinku od ul. Kartuskiej do ul. Potokowej zaplanowano budowę ścieżki rowerowej. Budowa nowej linii tramwajowej zakończy się we wrześniu 2015 r.

eMiasto dla Pruszcza Gdańskiego

To nagroda Google dla miejscowości, w których małe i średnie firmy najbardziej aktywnie wykorzystują sieć internetową. Pruszcz Gdański został uznany za najbardziej internetowe miasto na Pomorzu. Tym samym dołączył do piętnastu innych miast w Polsce, które noszą tytuł eMiasta. W rankingu brano pod uwagę posiadanie strony internetowej, jej wersji mobilnej, używanie internetu w biznesie i korzystanie przez firmy z serwisów społecznościowych.

Smart Metropolia w Gdańsku

W Międzynarodowym Kongresie Smart Metropolia uczestniczyło około tysiąca osób: naukowców, samorządowców i urbanistów w tym około 120 specjalistów m.in. z Paryża, Berlina, Wiednia i Bristolu. Przez dwa dni dyskutowali oni, jak podnieść jakość życia mieszkańców dużych aglomeracji. Realne działania w tym zakresie będą współfinansowane z puli prawie 2 mld euro, jakie w latach 2014–2020 województwo otrzyma z UE. Wspierane będą inicjatywy ukierunkowane na wzrost poziomu technologicznego oraz polepszenie zarządzania metropolią i innymi miastami. Imprezie towarzyszyła m.in. III edycja Międzynarodowej Konferencji INNO3city – Pomorski Port Kreatywności. Kongres został zorganizowany przez Urząd Miasta w Gdańsku i Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego.

VIII Forum Energetyczne w Sopocie pod napięciem

Kilkuset uczestników: polityków, przedstawicieli koncernów, ekspertów i dziennikarzy wzięło udział w trzydniowej konferencji poświęconej szeroko

rozumianej energetyce. Sporo miejsca poświęcono źródłom energii odnawialnej i unijnej polityce energetycznej. Uznano, że przed UE stoją poważne wyzwania w tym zakresie. Powinna dążyć do rozbudowy rynku wewnętrznego, zwiększyć bezpieczeństwo dostaw i ochronę środowiska. Jednocześnie uczestnicy uznali, że trzeba zrobić wszystko, by zredukować ceny energii, gdyż inaczej unijny rynek będzie musiał się pogodzić z ucieczką kapitału inwestycyjnego np. do USA. Tam ceny energii są bardzo konkurencyjne. Przy okazji polscy politycy zwracali uwagę na wadliwość obecnego systemu na handlu emisjami CO₂. Podkopuje on fundamenty konkurencyjności gospodarki europejskiej, bo zwiększa koszty produkcji. To zaś skłania wiele firm do przeniesienia produkcji do państw, w których tego typu restrykcje nie istnieją. W trakcie imprezy wręczono też nagrody specjalne przyznane przez radę krynickiego Forum Ekonomicznego. Otrzymali je: Janusz Lewandowski, komisarz Unii Europejskiej do spraw programowania finansowego i budżetu, Grupa Energa oraz Uniwersytet Zielonogórski.

Wynalazki na IX Targach Technicon-Innowacje

Na gdańskie targi przybyło 60 wystawców z całego kraju. To między innymi uczelnie i firmy prywatne. Zaprezentowano ponad 100 wynalazków. Politechnika Gdańska pokazała 20 nowości, wśród nich mówiące mapy dla niewidomych, wskaźnik rozmrożenia Chill-ID informujący o świeżości produktów spożywczych, hybrydowy system lokalizacji w czasie rzeczywistym oraz DOMESTIC – platformę do wspomagania osób starszych lub przewlekle chorych, pozostających w domu. Ciekawy projekt zaprezentowała Akademia Morska z Gdyni. Pokazała sportowy motocykl z napędem elektrycznym. Natomiast firma Voice Lab z Gdyni przedstawiła oprogramowanie do rozpoznawania intencji rozmówcy. Na targach można było obejrzeć, a nawet zjeść biodegradowalne talerze

z otrębów pszennych i odwzorować swoją twarz skanerem 3D. Targom towarzyszyły Pomorskie Dni Energii zorganizowane przez Stowarzyszenie „Pomorskie w Unii Europejskiej”.

Rusza Polski Instytut Technologii

Konsorcjum powołano w połowie listopada w Warszawie. Inicjatorami i jednocześnie członkami-założycielami są politechniki: Warszawska, Łódzka, Poznańska, Gdańska i Śląska oraz Wojskowa Akademia Techniczna, a także dwa instytuty: Podstawowych Problemów Techniki PAN i Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy. Założyciele zachęcają do współpracy kolejne instytucje badawcze i przedsiębiorców. Instytut ma poprawić współpracę na linii nauka – przemysł. Ma też pomóc

w pozyskiwaniu większych środków z programów unijnych czy krajowych. Konsorcjum chce również prowadzić działalność ekspercką w zakresie innowacyjności i transferu wiedzy. Do tego dojdą także doradztwo i szkolenia badawczo-rozwojowe.

Kryształowe Brukselki rozdane

Uniwersytet Gdański, Warszawski i Politechnika Warszawska laureatami Kryształowej Brukselki. To nagrody dla uczelni, firm i naukowców, którzy najskuteczniej walczyli o pieniądze Komisji Europejskiej na badania naukowe. W kapitule tegorocznego konkursu byli między innymi profesorowie Barbara Kudrycka, Jerzy Buzek i Michał Kleiber. Wyróżnienia po raz pierwszy przyznano w 2001 roku.

1 Dane za rok 2013 pochodzą ze zbioru otwartego, co oznacza, że przez cały rok sprawozdawczy rejestrowane są dane dotyczące wszystkich miesięcy (bieżących i poprzednich w przypadku dosyłania brakujących danych) oraz korekt rejestrowanych za okres sprawozdawczy, którego dotyczą. Dane na dzień 16.01.2014.

2 W 2013 r. za kraje Europy Środkowo-Wschodniej uważa się m.in.: Bośnię i Hercegowinę, Serbię i Czarnogórę; do krajów byłego ZSRR należą: Azerbejdżan, Białoruś, Kazachstan, Kirgistan, Mołdawia, Rosja, Ukraina, Uzbekistan; do krajów kapitalistycznych: Watykan, Norwegia, Lichtenstein i Szwajcaria w Europie, USA, Australia, Japonia, Kanada, Singapur, Nowa Zelandia, Wyspy Marshalla itp. Od 1 stycznia 2007 r. Bułgaria i Rumunia są członkami UE. Od 1 lipca 2013 r. Chorwacja jest członkiem UE.

Niniejszy artykuł powstał na podstawie następujących materiałów, w całości opublikowanych na stronie internetowej PPG (ppg.ibnrg.pl): A. Hildebrandt, 2013, *Handel zagraniczny w województwie pomorskim*, I. Wysocka, 2013, *Wiadomości gospodarcze*, P. Susmarski, 2013, *Koniunktura gospodarcza w województwie pomorskim w grudniu 2013 r.*, M. Tarkowski, 2013, *Poziom rozwoju gospodarczego województwa pomorskiego i jego zmiany w grudniu 2013 r.*

Opis ważniejszych wydarzeń przygotowała I. Wysocka. Wyboru i zestawienia dokonał M. Tarkowski.

O AUTORZE:

Dr Maciej Tarkowski jest pracownikiem naukowym Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową i nauczycielem akademickim w Instytucie Geografii Uniwersytetu Gdańskiego. Specjalizuje się w problematyce geografii ekonomicznej, rozwoju lokalnego i regionalnego oraz rynku pracy. Jest autorem licznych publikacji naukowych i ekspertyz oraz uczestnikiem projektów badawczych i wdrożeniowych poświęconych wymienionej problematyce.

ZAINWESTUJ na WYSPIE SPICHRZÓW



Naszym celem jest kompleksowe, zagospodarowanie terenu inwestycyjnego zlokalizowanego w północnej części Wyspy Spichrzów w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego.

Obszar do zagospodarowania to powierzchnia ok. 1,9 ha, obejmująca fragment północnego cypla Wyspy Spichrzów w Gdańsku. Właścicielem terenu jest Gmina Miasta Gdańska.

Z myślą o planowanym projekcie prowadziliśmy w latach 2000–2005 prace archeologiczne obejmujące ok. 70 % całej powierzchni terenu inwestycyjnego. Obecnie prowadzimy przebudowę nabrzeży wokół północnego cypla Wyspy Spichrzów, które mają pełnić funkcje rekreacyjne z możliwością cumowania małych pływających jednostek rekreacyjnych. Zakończenie prac planuje się w połowie 2014 r.

Czego oczekujemy?

Zadaniem partnera prywatnego będzie zaprojektowanie, sfinansowanie, budowa i eksploatacja obiektów komercyjnych o charakterze mieszkaniowym, handlowo-usługowym, biurowym a także, parkingów podziemnych oraz infrastruktury drogowej.

Część komercyjna, która stanie się własnością inwestora po realizacji projektu to obszar ok. 1,7 ha. Na obszarze tym można będzie wznosić obiekty o maksymalnej wysokości do 30 m. Według szacunków może tu powstać ok. 82 tys. mkw. komercyjnych powierzchni użytkowych.

Okres trwania umowy o PPP będzie przedmiotem negocjacji partnera publicznego z partnerem prywatnym.

Od partnera prywatnego oczekujemy realizacji wybranych elementów infrastruktury publicznej. Dotyczy to przede wszystkim przebudowy ogólnodostępnego układu drogowego północnego cypla Wyspy Spichrzów.

W ramach projektu chcemy dodatkowo zbudować:

- Muzeum Bursztynu na północnym cyplu Wyspy Spichrzów;
- zwodzony Most Stągiewny;
- źródła uliczne w pasie wokół nabrzeży i fontannę

oraz przebudować:

- Dłgie i Rybackie Pobrzeże;
- skrzyżowania ulicy Podwałe Przedmiejskie z ul. Chmielną i/lub z ulicą Łąkową.

Ostateczny podział dodatkowych inwestycji pomiędzy Miasto i partnera prywatnego będzie przedmiotem negocjacji warunków umowy o PPP.

Zalety lokalizacji

- Bezpośrednie sąsiedztwo historycznego obszaru Głównego Miasta odwiedzanego przez prawie 7 mln turystów rocznie.
- Bliskość najważniejszych obiektów kulturalnych o znaczeniu ponadregionalnym oraz przystani jachtowej Marina Gdańsk.
- Dostęp do jednej z głównych dróg tranzytowych miasta łączących Gdańsk z południem i zachodem Polski oraz z Obwodem Kaliningradzkim i z Międzynarodowym Portem Lotniczym w Gdańsku.
- Rynek zbytu obejmujący około 5 mln potencjalnych klientów z Gdańska, obszaru metropolii oraz sąsiadujących regionów Polski (czas dojazdu do 120 minut) i Rosji (Obwód Kaliningradzki).



Więcej o projekcie

Szczegółowych informacji na temat projektu udzielają przedstawiciele Urzędu Miejskiego w Gdańsku:
Kierownik Centrum Partnerstwa i Biznesu
Grzegorz Kaczorowski, telefon (058) 323 64 02
e-mail: grzegorz.kaczorowski@gdansk.gda.pl
Marta Korowaj, telefon (058) 323 66 03
e-mail: marta.korowaj@gdansk.gda.pl



GDAŃSK
www.gdansk.pl

Napędza nas naturalna energia

Wygrywa ten, kto bardziej racjonalnie wykorzystuje swoją energię. W drodze ku lepszej przyszłości zostawiamy za sobą energochłonne technologie. Kierując się tą ideą, na gruncie gospodarowania energią elektryczną, od wielu lat aktywnie wspieramy programy promujące racjonalne wykorzystanie energii. Oszczędzamy prąd, chronimy środowisko naturalne i zmniejszamy wydatki na rachunki.

www.energa.pl



Energa

Po prostu włącz

Większość myśli, jak przetrwać obecny czas.
My wiemy, jak wygrać przyszłość.

EFEKTYWNOŚĆ
i ROZWÓJ



Świat nie zmienia się sam. Tak naprawdę zmieniają go jednostki i nieliczne firmy. Planując i działając. Aktywnie wpływają na to, jaki ten świat kiedyś będzie. I choć są tacy, którzy czekają co im los przyniesie, my sami tworzymy naszą przyszłość. Budujemy ją w oparciu o klarowne cele i efektywne działania. Wiemy co robić. I jak.



Pomorski Przegląd Gospodarczy

Ile rynku, ile państwa?

Temat wydania:

W numerze:

prof. dr hab. Edmund Wnuk-Lipiński

dr hab. Leszek Pawłowicz, prof. UG

prof. Ladislau Dowbor

prof. Paul H. Dembinski

dr hab. Bogdan Góralczyk, prof. UW

dr Rafał Jarosz

Piotr Frączak

Marcin Skrzypek

Polak jak zbuntowany nastolatek

Państwo nie może chronić hazardzistów

Porzućmy ideologie

Globalne korporacje zamiast państw?

*Wolnorynkowe Chiny i etatystyczne Węgry –
zmiana modelu*

Koniec wolnoamerykanki?

A gdzie społeczeństwo?

Kultura – profity nie tylko rynkowe